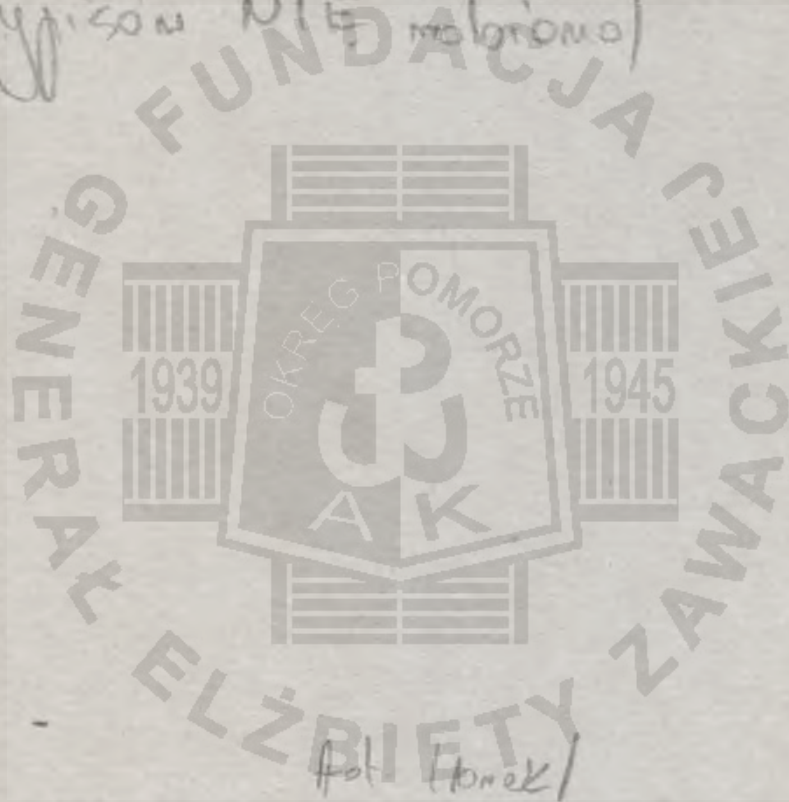


(wyższa NIE ma brzośca)



całość
z AK
wed. główny
na

(fot. Honek)

SAWICKA Halina

AK
Okr. Wołyński
Ob. Lubomł

ps. "Poziomka"

SPIS ZAWARTOŚCI TECZKI — SAWICKA

Helene

3020/WSK

I. Materiały dokumentacyjne

I/1 – relacja właściwa ✓

I/2 – dokumenty (sensu stricto) dot. osoby relatora

I/3 – inne materiały dokumentacyjne dot. osoby relatora

II. Materiały uzupełniające relację

III. Inne materiały (zebrane przez „relatora”):

III/1 – dot. rodziny relatora

III/2 – dot. ogólnie okresu sprzed 1939 r.

III/3 – dot. ogólnie okresu okupacji (1939–1945)

III/4 – dot. ogólnie okresu po 1945 r.

III/5 – inne...

IV. Korespondencja

V. Wypisy ze źródeł [tzw.: „nazwiskowe karty informacyjne”]

VI. Fotografie

I 11 Relacja Własna

- Halina Śawicka, Pięlegniaki - wspomnienia wojenne, msp., k. 43 s. 1-86



Pierwszego września 1939 roku - Wojna! To słowo powtarzają niemal wszystkie usta. To straszne słowo i okrutne jego skutki.

Jako pielęgniarka zostałam zmobilizowana do drugiej kadry zapasowej w Lublinie. Po przybyciu na miejsce zostałam przydzielona do szpitala ewakuacyjnego nr 21. Był to szpital duży, na 1000 łóżek. Od początku trwa w nim nieustanna, bez chwili wytchnienia, praca. Ranni wciąż przybywają. Na sali operacyjnej słychać tylko zgrzyt narzędzi i jęki operowanych żołnierzy, zanim nie zostaną uśpieni. To pierwsze zetknięcie się ze zgrozą wojny i jej okrucieństwem, robi na mnie ogromne wrażenie, tego nie sposób opisać. Przy nadmiarze pracy musiałam przeżywać ciągłe naloty i huk bomb. Szpital nasz zdawał mi się być pudełkiem od zapalek, myślałam, że rozwali się jak domek z kart. Zmęczenie fizyczne dochodziło do zenitu.

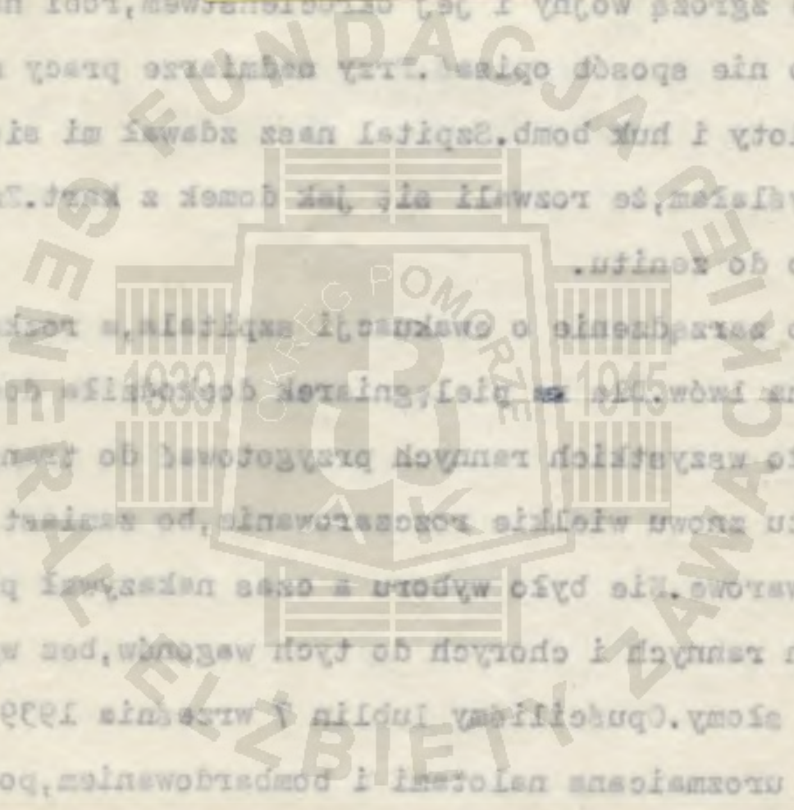
Wydano zarządzenie o ewakuacji szpitala, a rozkaz wyjazdu wskazywał kierunek na Lwów. Dla nas pielęgniarek dochodziła dodatkowa praca, bo trzeba było wszystkich rannych przygotować do transportu. Podstawiono pociąg i tu znowu wielkie rozczarowanie, bo zamiast wagonów sanitarnych zwykle towarowe. Nie było wyboru a czas nakazywał pośpiech. Załadowaliśmy naszych rannych i chorych do tych wagonów, bez wygód, zwyczajnie, na garstkach słomy. Cpuściliśmy Lublin 7 września 1939 roku. Droga ewakuacji była urozmaicona nalotami i bombardowaniem, podczas których nie sposób było wynosić rannych do pobliskich lasów lub w pola, trwałyśmy więc przy nich dzielnie, dodawałyśmy im otuchy pocieszając, że już niedługo dojedziemy do bezpiecznego miejsca. Tak, tylko pocieszenie. Wiedzieliśmy o tym dobrze, że to nigdy nie nastąpi.

Po dwutygodniowej tyłaczce dojechaliśmy do Lucka, a właściwie to doszliśmy piechotą, gdyż już wcześniej komendant szpitala, dr Zawadzki, zdecydował że tylko ranni i zespół składający się z kilku lekarzy, pielęgniarek i sanitariuszy, pojedzie w kierunku Iwowa, reszta zaś nocami ma dotrzeć do Lucka i tam dołączyć do transportu, odchodzącego do

[14 69]

Wpłynęło dnia 7x11
Ldz. 4374 WSK 01

AK
Woty m'
ob. Luboml



Wszystkie dane. To jest...
Jako przedmiotem...
w tej w sprawie...
takie ewentualnego...
ku temu w nim...
przechowywać. Na...
operacyjnych...
nie się ze...
żenie, tego nie...
ciężkie...
zapobieg...
dochodzą do...
Wydano...
kierunek...
trzeba...
pociąg i...
zwycię...
my naszym...
gwarant...
są...
spodoba...
więc...
dlugo...
dalej...
To...
do...
zadecyd...
polecenia...
mi na...

Ldz. 4374 WSK 01 2 7x11

Iwowa. Niestety, nigdy nie dotarliśmy do miejsca przeznaczenia.

Po całonocnej wędrówce w czasie ulewnego deszczu, przemoknięci i zziębnięci do szpiku kości, o świcie dotarliśmy do przedmieść Łucka. Ten świt dla mnie był mrokiem. Komendant szpitala przekazał nam straszną wiadomość, że jesteśmy w pierścieniu, z tyłu mamy Niemców, z przodu wojska sowieckie, że właściwie wojna skończona. A więc niewola! To okropne i jeszcze niewiarygodne. Do mojej świadomości nie dociera fakt, że już jesteśmy pokonani. Stoję osłupiała. Komendant ogłasza demobilizację, padają twarde i gorzkie słowa. Każdy może iść gdzie chce. Wraca świadomość i wtedy ogarnia mnie straszna rozpacz, w sercu czuję ogromną pustkę i żal. Nie mogę się pogodzić z faktem, że zabrano mi Ojczyznę i rozdarto ją na części, Ojczyznę, dla której ja i każdy z nas ofiarował to co miał najdroższego, swoje młode życie. Popadłam w rozterkę. Co robić, gdzie i w którą stronę podążyć? A może jeszcze nie wszystko stracone? Sprzeczne myśli jak błyskawice przelatują przez skołataną głowę. Całe szczęście, że ja i kilka jeszcze pielęgniarek było z tych samych stron. Mogłyśmy sobie jakś radzić. Jakoś, bo tak naprawdę jak, żadna nie wiedziała. Co miały począć koleżanki, które mieszkały w miastach zajętych przez Niemców?

Do domu wróciłam po kilku dniach tułaczki, pieszo, zmęczona i głodna. A nawet było trudno dostać trochę wody do picia, bo począwszy od Łucka aż do Kowla, gdzie mieszkali moi rodzice, wiele było wiosek ukraińskich, ich zaś mieszkańcy byli negatywnie nastawieni do nas Polaków.

Mimo tych różnych trudności dotarłam do domu szczęśliwie i zdrowa. Nie mogłam się pogodzić ze smutnym faktem rozdarcia mojej Ojczyzny. Na zmianę ogarniała mnie bezmierna rozpacz i złość. W tajemnicy przed swymi najbliższymi postanowiłam, że przy nadarzającej się okazji będę walczyć z wrogami Polski. Na taką sposobność nie musiałam zbyt długo czekać. W przyszłości postanowienie swoje zrealizowałam w całej pełni. I tak się zakończył pierwszy etap mojego życia, w niefortunnej wyprawie wojennej 1939 roku.

Lwów. Wtedy, nigdy nie dotarliśmy do miejsca przeznaczenia. To co wówczas wędrowało w czasie ulicznego przesuwania i zbiegnięcia do szpiku kości, o świecie dotarliśmy do przedmieścia Łucka. Ten świat dla mnie był mrokiem. Komendant szpitala przekazał nam strasną wiadomość, że jesteśmy w pierścieniu, a tytu mamy Niemców, a przed nami wojska sowieckie, że właściwie wojna skończona. A więc nie wolno! To okropne i jeansowe niewiarzygodne. Do mojej świadomości nie dociera fakt, że już jesteśmy pokonani. Stoję oszupiała. Komendant ogłasza demobilizację, padają twarde i gorzkie słowa. Każdy może iść gdzie chce. Wraca świadomość i wtedy ogarnia mnie strasna rozpacz, w sercu czuję ogromną pustkę i żal. Nie mogę się pogodzić z faktem, że zabrano mi Ojczyznę i rozdarła ją na części, Ojczyznę, dla której ja i każdy z nas ofiarowaliśmy to co mieliśmy najdroższego, swoje młode życie. Popędziam w rozterkę. Co zrobić, gdzie i w którą stronę podążyć? A może jeszcze nie wyjątkowo stracony? Sprzeczne myśli jak dykawkice przelatują przez skostniałą głowę. Cóż uczucie, że ja i kilka jeszcze pielęgniarek było w tych awaryjnych stronach. Logiką sobie nie jakoby radzić. Jakoby, bo tak naprawdę jak, żadna nie wiedziałam. Co miały pozostać koleżanki, które mieszkały w miastach zajętych przez Niemców? Do domu wróciłem po kilka dniach tłumaczy, pieszko, zmęczona i głodna. A nawet było trudno dostać trochę wody do picia, do porządku od Łucka aż do Kowla, gdzie mieszkali moi rodzice, wiele było wioszek ukraińskich, ich są mieszkańcy byli negatywnie nastawieni do nas Polaków. Mimo tych różnic trudności dotarłem do domu szczęśliwie i zdrowo. Nie mogłem się pogodzić ze smutnym faktem rozdarcia mojej Ojczyzny. Na zmianę ogarniała mnie bezmierna rozpacz i żal. W tajemnicy przed awymi najbliższymi postanawiałem, że przy nadarzającej się okazji będę walczył z wrogami Polaki. Na taką sposobność nie musiałem zbyt długo czekać. W przyrzeczności postanowienie swoje srealizowałem w całej pełni. I tak się zakończył pierwszy etap mojego życia, w niefortunnej wypowiedzi wojennej 1939 roku.

Pielęgniarki - wspomnienia wojenne.

Część II.

Nadszedł rok 1941. w tym czasie mieszkałam w Maciejowie i pracowałam jako pielęgniarka w Rejonowym Szpitalu. Był spokój, praca przebiegała normalnie. Niestety, niedługo trwała miła atmosfera. W nocy 21 czerwca 1941 roku Niemcy napadli na Związek Radziecki. Pamiętam dobrze, miałam tę noc dyżur ~~nocny~~. Kiedy usłyszałam warkot samolotów i pierwsze wybuchy spadających bomb, zrozumiałam, że znowu zaczęło się piekło. Nie myliłam się. Już następnego dnia szpital nasz zmienił nazwę, pozostając wyłącznie szpitalem wojskowym. Wypisano wszystkich chorych cywilnych, zaczęła się nowa gehenna. W godzinach przedpołudniowych nadszedł pierwszy transport ^{formyłu} żołnierzy radzieckich. Przeważnie byli to młodzi chłopcy, każdy wołał o pomoc i ratunek. Na sali operacyjnej bez przerwy wre praca, to samo dzieje się na salach opatrunkowych. Stanowczo za mało lekarzy i pielęgniarek, ale mimo to nie poddajemy się, zmęczenia prawie nie odczuwamy. Żal tych młodych ludzi dodaje nam sił. Naloty, bombardowania i ciągły napływ nowych rannych. Trwało to wszystko przez pełnych cztery dni i noc. Front zbliżał się z godziny na godzinę, coraz bliżej byli Niemcy od naszego miasta.

Nieoczekiwanie otrzymaliśmy rozkaz szykowania rannych do transportu gdyż dowództwo wojsk radzieckich postanowiło ewakuować rannych w głąb swego kraju. Niestety, nie wszyscy mieli to szczęście, bo przede wszystkim zabierano oficerów, a szary żołnierz pozostał na szarym końcu. Kiedy dwudziestego czwartego czerwca, w godzinach wieczornych, przeszły ostatnie oddziały wojska radzieckiego, w szpitalu pozostało bardzo dużo rannych.

Miasto ucichło, zapanował chwilowy spokój. Zbliżała się krótka czerwcowa noc i znowu przypadł mi nocny dyżur. W pawilonie w którym dyżurowałam było nas tylko dwie: ja jako pielęgniarka i salowa. Chorzy zdenerwowani, nikt nie śpi. Wszyscy pytają - siostró co będzie? Jaki los nas czeka? Nie umiałam na te pytania odpowiedzieć. Pocieszałam jak mogłam i razem z nimi przeżywałam okropny strach przed Niemcami. Po pewnym czasie usłyszałam stukanie do drzwi. Co robić? Po chwili wahania podchodzę i

Wzrost 180 Waga 115cm 10.11.1941

pytam - kto tam? Odpowiedź brzmi - Niemcy! Odpowiedzią byłam zaskoczona, gdyż odpowiadano mi po polsku. Okazało się później, że byli to Polacy ze Śląska i Pomorza, przymusowo wcieleni do armii niemieckiej.

Od tej chwili zaczął się następny etap mych przeżyć, strasznej w skutkach okupacji hitlerowskiej.

Nasi ranni żołnierze radzieccy dochodzili powoli do zdrowia, ale niestety, zapasy żywnościowe wyczerpały się, a Niemcy nie śpieszyli się z zaopatrzeniem szpitala w prowiant. W szpitalu zapanował głód. Jeśli chodzi o stosunki nasze z chorymi, to były one bardzo serdeczne, a z upływem czasu wywiązała się wielka i szczerą przyjaźń. Opowiadali nam o sobie prawie wszystko. Nie raz i nie dwa takie opowiadanie trwało do późnych godzin nocnych. Przeważnie były to bardzo smutne i tragiczne dzieje tych młodych chłopców, a jednocześnie i naszych towarzyszy wspaniałej wspólnej niedoli. Pamiętam, między rannymi był bratanek Fiodora Szalapina, wielkiego śpiewaka rosyjskiego. Ten młody Szalapin miał tak samo piękny głos. Śpiewał przepięknie romanse rosyjskie, jak też i pieśni rewolucyjne. Czas płynął szybko i spokojnie. Tak się nam przynajmniej zdawało.

Pewnego dnia wielka niespodzianka. Do szpitala nadszedł rozkaz władz niemieckich, by wszystkich rannych jenców wypisać ze szpitala. Na nasz cyły personel i naszych podopiecznych padł blady strach. Każdy jest podenerwowany i stawia przed sobą pytanie - co będzie z nami, a co z naszymi rannymi? Wiadomo - niewola, ale jaka? Nie było rady, zaczęło się przygotowanie do wymarszu. Wszystkie pielęgniarki jak jedna zaczęły się organizować paczki żywnościowe. Nie było to łatwe, gdyż dla osiągnięcia celu, trzeba było chodzić po mieście i wśród ludności prosić o pomoc. Ludzie jednak chętnie dawali to co kto mógł. Jedni piekli chleb, inni dawali słoninę, suchą kiełbasę, cebulę, czosnek oraz takie artykuły, które mogły być dłużej przechowywane. Wreszcie, jak nieubłagane fatum, nadszedł dzień rozstania i pożegnania. Pozostał on w mej pamięci jako bardzo smutny i ogromnie wzruszający. Wszyscy płakali, a najbardziej odchodzący

pytam - kto tam? Odpowiedz brami - Niemcy! Odpowiedzialny byłam zaskoro-
na, gdyż odpowiedziano mi po polsku. Okazało się później, że byli to
Polacy ze Śląska i Pomorza, przyjeżdżający do armii niemieckiej.
Od tej chwili zaczęli się masowo pojawiać w szeregach, strasznie w
skutkach okupacji hitlerowskiej.
Wielu ranni żołnierze radzieccy dobiegli do szpitala, ale
niechętnie, wbrew dyktando wyczerpani, a Niemcy nie przepuszczali ich
z szpitala. W szpitalu zaprowadziła ich. Jedni
chodzili o stożki nasze z chorzy, to byli one bardzo serdeczne, a w szpi-
talnym czasie wywieszano się wielkie i zaczęły przyjeżdżać. Odpowiedzieli nam o so-
bie prawie wszystko. Nie raz i nie dwa takie opowiadanie trwało do póź-
nych godzin nocnych. Trzewnie były to bardzo smutne i tragiczne doświadcze-
nia, których nie zapomnę i naszych towarzyszy wspaniałych w walce, wielo-
krotnie. W szpitalu, między innymi, był lekarz niemiecki, lekarz, wielo-
krotnie. Ten młody lekarz niemiecki miał tak samo piękny głos
i pięknie rozmawiał, jak ten i pięknie rozmawiał.
Czas płynął szybko i spokojnie. Tak się nam przynajmniej zdawało.
W pewnym dniu, wielka niegodziwość, do szpitala nadzedli lekarze
niemieccy, by wszystkich rannych jeńców wyprowadzić ze szpitala. Na-
stąpił cały personel i naszych podopiecznych, byli śmiertelnie straszni. Każdy
jest podenerwowany i stawia przed sobą pytanie - co będzie z nami, a
co z naszymi rannymi? Wiadomo - niewola, ale jaka? Nie było rady, zaczęto
się przygotowywać do wyjazdu. Wszystkie pielęgniarki jak jedna zaczęły
się organizować paczki żywnościowe. Nie było to łatwe, gdyż dla osiągnię-
cia celu, trzeba było chodzić po mieście i wśród ludności prosić o pomoc.
Ludzie jednak chętnie dawali to co mogli. Jedni piekili chleb, inni
dawali szynki, a nawet kiełbasę, cebulę, czosnek oraz takie artykuły, które
mogły być dla nich przechowywane. Wreszcie, jak nieudzielnym faktum, nadzedli
dalek rozstania i pożegnania. Rozstania on w tej chwili jako bardzo
smutny i ogromnie wzruszający. Wszyscy piekarni, a najbardziej obchodzący.

Nim kolumny ruszyła z miejsca, każdy z żołnierzy radzieckich otrzymał na drogę swój przydział-paczkę, zorganizowaną wyłącznie przez personel naszego szpitala.

Od tej pory zaczęły płynąć ponure dni. Ponieważ mieszkałam stosunkowo daleko od rodziny, nie wiedziałam co się dzieje z moimi najbliższymi. Postanowiłam, nie-czekając na uruchomienie pociągów, przebyć ~~na~~ drogę pieszo. Z Maciejowa do Kowla było około 30 kilometrów. Drogę tę przeszłam w ciągu jednego dnia. Już w Kowlu, droga do mego domu prowadziła obok więzienia i tym samym musiałam tamtędy przechodzić. Widocznie los tak chciał bym jeszcze raz zetknęła się z moimi radzieckimi przyjaciółmi. Na podwórzu więziennym zobaczyłam wszystkich, oni zaś zobaczyli mnie i krzyknęli - siostró, jesteśmy bardzo głodni. Cóż miałam zrobić? Powiedziałam, że jutro rano przyniosę im coś do jedzenia. Do domu miałam zaledwie kilka kroków, a zdawało mi się, że nigdy do niego nie dojdę. Widok tych nieszczęśliwych jeńców wywołał we mnie masę sprzecznych uczuć. Żal i rozpacz, złość bezsilna i nienawiść do okupanta. Dlaczego ten naród jest taki podły? Jedno było pewne, to jest to, że będę walczyć z Niemcami. Nie wiedziałam jeszcze ~~jak~~ w jaki sposób.

W domu zastałam wszystkich, nikomu nic się nie stało. Byłam szczęśliwą wśród swoich najbliższych. Mimo to mama wyczuła, że coś mnie gnębi, opowiedziałam więc jej o spotkaniu z jeńcami. Reakcja mamy była natychmiastowa. Nic niemówiąc zabrała się do rozczynienia mąki na chleb. Rano zobaczyłam świeże bochenki chleba w koszu. Poszłyśmy z nimi pod więzienie, lecz niestety, nie zastałyśmy nikogo. Niemcy w nocy zdążyli wywieźć jeńców w niewiadomym kierunku. Więcej ich już nigdy nie widziałam. Trudno!.

Życie potoczyło się dalej, musiałam wracać do pracy. Trudne to były dni, w ciągłym napięciu i zdenerwowaniu. Każdy dzień przynosił nowe koszmarnie wiadomości. Rozpoczęto likwidację Żydów.

Nim kolony ruszyły z miejsca, każdy z żołnierzy radzieckich otrzymał na drogę swój przydział paczki, zorganizowane wygusnie przez personel naszego szpitala.

Od tej pory zaczęły płynąć poranne dni. Ponieważ mieszkańcy stowozkowi daleko od rodziny, nie wiedzieli co się dzieje z moimi najbliższymi. Postanowili, nie czekając na uruchomienie pociągów, przebyć na drogę pieszo. Z Maciejowa do Kowia było około 30 kilometrów. Drogę tę przemierzaliśmy w ciągu jednego dnia. Już w Kowiu, droga do mego domu prowadziła obok wsi i tym samym musieliśmy tamtędy przechodzić. Wiedząc że tak chciałbym jeszcze raz zobaczyć się z moimi radzieckimi przyjaciółmi. Na podwórku wzięliśmy zobowiązanie wszystkim, oni zaś zobowiązali mnie i krzyknęli: - Siostro, jesteśmy bardzo głodni. Czy miałabyś coś przynieść? Powiedzieliśmy, że jutro rano przyniosę im coś do jedzenia. Do domu miałam zabrać kilka krochów, a zawsze mi się, że nigdy do niego nie dojdę. Widok tych nieznajomych jeńców wywołał we mnie masę sprzecznych uczuć. Tak i rozpacza, żal i nadzieja i nieśmiałość do opiekuna. Dlaczego ten naród jest taki goły? Jedno było pewne, że jest to, że będzie więcej z Niemcami. Nie wiedziałam jeszcze jak w jaki sposób.

W domu zastaliśmy wszystkich, nikomu nic się nie stało. Byłam zadowolona z tego, że chociaż najbliższych. Mimo to mama wyczuła, że coś mnie gnębi, opowiadałam więc jej o spotkaniu z jeńcami. Reszta mamy była natychmiastowa. Nie powiedziała słowa się do rozczynienia maki na chleb. Rano zobaczyłam światełko pochenki chleba w koszu. Poszłyśmy z nimi pod więzienie, lecz nie stały, nie zastaliśmy nikogo. Niemcy w nocy zdążyli wywieźć jeńców niewidomych kierunku. Więcej ich już nigdy nie widziałam. Trudno!

Życie potoczyło się dalej, musiałam wrócić do pracy. Trudno to było dni, w ciągu napięciu i egzerwowania. Każdy dzień przynosił nowe kłopoty i trudności. Rozpoczęto likwidację jeńców.

W szpitalu pracowało kilku lekarzy i kilka pielęgniarek. Przede wszystkim kazano ich zwolnić z pracy, potem nastąpił ciąg łańcuchowy, izolacja w getcie i likwidacja. Jedną z nich nie dał się zabrać do getta, wybrał śmierć. Najpierw wstrzyknął dożylnie swojej żonie morfinę, a następnie sam siebie uśmiercił. Takie i podobne wypadki musiałam przeżywać, ja młoda dziewczyna. Jak to na mnie działało, trudno wypowiedzieć słowami. Jedną koleżankę, Żydówkę, chirurdzy zoperowali. Oczywiście była to fikcja. Prosto nacięto naskórek w okolicy wyrostka, założono klamery i w ten sposób uniknęła pójścia do getta, przynajmniej na jakiś czas. W tym czasie chorych pozostawiano w spokoju. Ze szpitala zabrałam ją do siebie. Ryzyko było bardzo wielkie, ale moje wewnętrzne ja kazało mi tak postąpić, nie inaczej. Ponieważ nie mieszkałam sama, a sprawa Żydów coraz bardziej zaczęła się zaostrzać, moja współlokatorka kategorycznie oświadczyła, że nie ma zamiaru ginąć przez Żydówkę. Musiałam ją zabrać z domu. Widziałam w jej oczach ogromny przestraszenie, a z drugiej strony taką samą uległość i ufność do mnie. W nocy przeprowadziłam ją z powrotem do szpitala. Trudno uwierzyć, bo schowałam ją w dyżurce pod łóżkiem, które służyło do odpoczynku dla sióstr dyżurnych. Wychodziła spod niego tylko wtedy kiedy ja miałam dyżur, by umyć się i rozprostować kości. Tak mijały dni, tygodnie, takie było życie, trudne i bardzo ryzykowne. Pewnego dnia powiedziała mi że dłużej nie może mnie narażać, postanowiła odejść. Wyekwipowałam ją tak jak tylko mogłam i nocą wyprowadziłam poza miasto. W bezpiecznym miejscu nastąpiło pożegnanie. Co obie czułyśmy przy rozstaniu - trudno napisać. Dalszego jej losu nie znam.

Ponieważ mój ordynator ze szpitala w Maciejowie, dostał nominację na dyrektora szpitala w Lubomlu, wyjechałam z nim do tej miejscowości i tam pomagałam w organizowaniu nowej placówki służby zdrowia. Był to rok 1942 - luty. Od tej pory moje losy zostały związane z konspiracją, jaka już na tych terenach działała.

W szpitalu pracowałem kilka lekarzy i kilka pielęgniarek. Prace
wszystkim kazano ich zwolnić z pracy, potem nastąpił ciąg dalszy, izolecja
w getcie i likwidacja. Jedną z nich nie dał się zapisać do getta, wyjechał
do Amsterdamu. Niejako wstrząsnął doświadczenie swojej żony, a następnie
sam siebie namierzył. Takie i podobne wypadki musiały przetrwać, ja nie
dałem rady. Tak to na mnie działało, trudno wypowiedzieć słowami.
Jedną koleżankę, żydówkę, chirurgkę zoperowali. Coś wiecie była to fikcja.
Prostą naszą naszkreślił w okolicy wyrostka, załóżono klamki i w ten
sposób uniknąć pójścia do getta, przynajmniej na jakiś czas. W tym czasie
chorych pozostawiano w spokoju. Ze szpitala zabrano je do siebie. Wszyscy
byli bardzo wielkie, ale moje wewnętrzne ja kazało mi tak postąpić, nie
inaczej. Ponieważ nie miałem czasu, a sprawa była coraz bardziej za-
czyna się rozstrzygać, moja współkoleżanka kategorycznie oświadczyła, że nie
ma zamiaru iść przez żydówkę. Musiałam ją zapisać z domu. Wiedziałam w tej
chwili ogromny presjon, a drugiej stronie tegoż stała się ucieczka i ut-
rącało mi. Wtedy przeprowadziliśmy je z powrotem do szpitala. Trudno
byłoby, do zachowania jej w dysznie pod ścianą, którą służyła do odpo-
zycia dla sióstr dyżurnych. Wychodziła spod niego tylko wtedy kiedy ja
miałam dyżur, by umyć się i rozprostować kark. Tak miały dni, tygodnie,
takie było życie, trudne i bardzo przykre. Pewnego dnia powiedziała mi
że dłużej nie może mi narządek, postanowiła odejść. Wykpiwałam ją tak
jak tylko mogłam i nie przeprowadziłam poza miasto. W bezpiecznym miejscu
nastąpiło pożegnanie. Co obie czułyśmy przy rozstaniu - trudno napisać.
Dalszego jej losu nie znam.

Ponieważ mój ordynator ze szpitala w Maciejowie, dostał nominację
na dyrektora szpitala w Lubomiu, wyjechałam z nim do tej miejscowości
i tam pomagałam w organizowaniu nowej placówki szpitalnej zdrowie. Był to
rok 1948 - luty. Od tej pory moje losy zostały związane z Konopieczną, tam
już na tych terenach działała.

Zaczęła się realizacja moich niedawnych marzeń - walki ze znieprawdowanym okupantem, grabieżcą mojej Ojczyzny, mordercą setek tysięcy ludzi. Złożyłam przysięgę i przybrałam pseudonim Flora. Pozostałam nią do końca wojny. W konspiracji pełniłam obowiązki ściśle związane z moim zawodem, byłam jedną z wielu, które tworzyły konspiracyjną służbę zdrowia. Oczywiście o moim zaangażowaniu w konspirację nie mówiłam nikomu, nawet swym najbliższym z rodziny. W szpitalu w Lubomlu pełniłam funkcję siostry przełożonej oraz pielęgniarki instrumentariuszki. Po pewnym czasie dyrektor polecił mi przejąć prowadzenie apteki szpitalnej. Od tej chwili miałam już wszystko pod swoją ręką i mogłam zacząć działać na korzyść konspiracji. Cóż to takiego było? Przede wszystkim różnego rodzaju leki, materiały opatrunkowe, instrumenty operacyjne, bielizna i inny sprzęt potrzebny dla szpitali już walczących oddziałów i późniejszej 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK. Podział robiłam sprawiedliwy. Mniejsze lub większe paczki przekazywałam do miejsca wyznaczonego przez organizację, przy pomocy łączników, ludzi pewnych i oddanych sprawie walki z Niemcami. Naturalnie, że robiłam to wszystko tak, by nie zwrócić uwagi władz niemieckich. Książki przychodu i rozchodu musiały grać i „grały”. Taka nielegalna moja robota trwała aż do marca 1944 roku, a więc przez dwa lata. Przez łączników miałam ciągły kontakt z chłopcami z lasu. Otrzymywałam różnego rodzaju grypsy i według tam zawartych poleceń wykonywałam zadania. Mieszkając na terenie szpitala, mogłam wiele rzeczy przechowywać bez obawy, że narażę dyrektora i personel szpitala na jakieś represje ze strony Niemców. Na przykład w magazynie, gdzie znajdowały się szafy z bielizną szpitala, przechowywałam dość często broń, amunicję i granaty, przekazane mnie w celu dalszego przekazania ~~xxxxxxx~~ pod wskazane adresy. Praca to oczywiście bardzo ryzykowna, ale zadanie było daleko ważniejsze od mojej osoby. Mimo częstych kontroli ze strony Niemców, szczęście sprzyjało, nigdy nie wpadłam.

Zaczęła się realizacja moich niedawnych marzeń - walki ze znanymi
 okupentami, grabieżcami i okrutnymi, mordującymi tysiące ludzi.
 Złożyłem przysięgę i przybrałem pseudonim Flora. Zostałem nim do końca
 wojny. W konspiracji pełniłem obowiązki kłosa związane z moim zawodem,
 byłem jedną z wielu, które tworzyły konspiracyjną siatkę zdrowia. Cożywi-
 ancie o moim zaangażowaniu w konspirację nie mówiam nikomu, nawet swym naj-
 bliższym z rodziny. W szpitalu w Lubomiu pełniłem funkcję asysty przezo-
 szanej oraz pielęgniarzki instrumentarzystki. Pom pewnym czasie dyrektor
 polecił mi przejąć prowadzenie apteki szpitalnej. Od tej chwili miałem
 już wszystko pod swoją ręką i mogłem zacząć działać na korzyść konspira-
 cji. Odtąd to takiego było przede wszystkim różnego rodzaju leki, materiały
 opatrunkowe, instrumenty operacyjne, szaliki i inny sprzęt potrzebny dla
 szpitali już walczących oddziałów i pododdziałów 24 Wołyńskiej Dywizji
 Piesoty AK. Towarów rocznie sprzedawałem. Istniała też większa paczka
 przekazywana do nielata wypracowanego przez szpital, przy pomocy pa-
 cjentów, ludzi pewnych i oddanych sprawie walki z Niemcami. Naturalnie, że
 robiliśmy to wszystko tak, by nie zwrócić uwagi władz niemieckich. Książki
 przychołu i rozchołu musiały być i "grzyby". Taką delegacją moja robo-
 ta trwała aż do marca 1944 roku, a więc przez dwa lata. Przez szpitalów
 miałem ciągły kontakt z chłopcami z lasu. Otrzymywałem różnego rodzaju
 typy i według tam zawartych poleceń wykonywałem zadania. Niezwykle na
 terenie szpitala, mogłem wiele rzeczy przechowywać bez obawy, że narażę
 dyrektora i personel szpitala na jakiegoś rodzaju represje ze strony Niemców.
 Naprzykład w magazynie, gdzie znajdowały się szaty z bielizną szpitala,
 przechowywałem dość często broń, amunicję i granaty, przekazywane mi w ce-
 lu dalszego przekazania komunistycznym pododdziałom. Przez to
 oczywiście bardzo ryzykowne, ale zadanie było dość ważniejsze od mojej
 osoby. Mimo częstych kontroli ze strony Niemców, szczęście sprzyjało, nig-
 dy nie wpadłem.

Ale to nie wszystko. Na terenie szpitala byli leczeni ranni z walk z Niemcami. Każdy z nich miał założoną -lewą- historię choroby, a po zabiegu założony gips, obojętnie jaka część ciała uległa urazowi. Takie postępowanie zabezpieczało nas i rannych, gdyż nikt chyba nie domyślał się, że pod gipsem kryje się rana postrzałowa. Wizytacje przez niemieckich lekarzy było dość częste, ale chyba im nigdy nie przyszła myśl do głowy, że wśród chorych mogą być właśnie żołnierzy z 27 dywizji. Pracowałam w ciągłym napięciu i bardzo czujnie.

Na początku marca 1944 roku otrzymałam rozkaz dołączenia do dywizji. Rozkaz ten wykonałam w prosty sposób. Ponieważ miałam zaufaną kucharkę, która była w tajemniczona we wszystkie moje sprawy, nadto była wspaniałą patriotką, Polką, jej przekazałam klucze i poleciłam oddać następnego dnia. To wszystko. Z Lubomla wyjechałam pociągiem w stronę Jagodzina. W umówionym miejscu pociąg zatrzymał się na chwilę, a ja wysiadłam. Czekało na mnie. Zameldowałam się w nadleśnictwie i tam było moje nowe lokum, pierwsza kwatery.

Nadleśniczy inż. Anatol Turski był kwatermistrem dla kilku jednostek dywizji. Pseudonimu jego nie pamiętam. Mieszkałam w nadleśnictwie i uchodziłam za kuzynkę gospodarza, nadleśniczego. Moje nowe zadanie - opatrywanie rannych i leczenie chorych. Nie było to wcale proste, ponieważ chorzy byli rozlokowani w poszczególnych koloniach polskich, w chałupach chłopskich. Każdego więc rana wyjeżdżałam na taki spacer, a wracałam późnym wieczorem. W tym czasie duża część oddziałów 27 dywizji stacjonowała w lasach Mosurskich. Prócz tego muszę zaznaczyć, że nadleśnictwo było pewnego rodzaju filtrem dla tych, którzy mieli dołączyć do walczących oddziałów. Prosto - chodziło o to, by do walczących jednostek nie przedostali się jacyś nasłani przez Niemców zdrajcy. Ci wszyscy, którzy przechodzili przez tę placówkę byli szczepieni szczepionką przeciwtyfusową, którą zabrałam ze szpitala w dniu jego opuszczania.

Ala to nie wszystko. Na terenie szpitala był leżący ranni z wolk
 z Niemcami. Każdy z nich miał założoną - lewą - rękę chorobą, a po
 zabiegu znakany gips, obojętnie jaka część ciała uległa urazowi. Takie
 postępowanie zabezpieczało nas i rannych, gdyż nikt chyba nie domyślał
 się, że pod gipsem kryje się rana postrzałowa. Wixtacje przez niemieckiel
 lekarzy było dość częste, ale chyba im nigdy nie przyszło myśleć do głowy,
 że wśród chorzych mogą być właśnie żołnierzy z 27 dywizji. Pracowałam
 w ciągłym napięciu i bardzo cieżko.

Na początku marca 1944 roku otrzymałam rozkaz dojeżdżenia do dy-
 wizji. Rozkaz ten wykonałam w prosty sposób. Ponieważ miałam za sobą ku-
 cherkę, która była w tajemniczość wojskowa, moje sprawy, nadto była
 wspierana przez polską, Polka, którą przekazałam kuzynce i poleciłam odjechać na-
 stępnego dnia. To wszystko. Z Ludomila wyjechałam po godzinie w stronę Ja-
 godzina. W umówionym miejscu pojeźdźca zatrzymał się na chwilę, a ja wysiad-
 łam. Usiekano na mnie. Zameldowałam się w nadzianictwie i tam było moje
 nowe lokum, pierwszy kwatery.

Nadzieńca int. Anatol Turaki był lekarzem dla kilku jedno-
 stek dywizji. Wierdzimim jego nie pamiętam. Mieszkałam w nadzianictwie
 i uchożałam za kuzynkę gospodarza, nadzianictwo. Moje nowe zadanie -
 opatrywanie rannych i leczenie chorzych. Nie było to wcale proste, ponie-
 waż chorzy byli rozlokowani w poszczególnych kolonach polskich, w cha-
 kupach obojętnych. Każdego więc rana wyjeżdżałam na taki spacer, a wra-
 całam późnym wieczorem. W tym czasie duży odział 27 dywizji
 etacjonowała w lasach Mosurskich. Próbę tego czasu muszę zaznaczyć, że nadzie-
 nictwo było pewnego rodzaju filtrem dla tych, którzy mieli dojeżdżyć do
 walczących oddziałów. Prosto - chodzisz o to, by do walczących jednostek
 nie przedostali się jakieś przesłani przez Niemców szpiegi. Ci wszyscy,
 którzy przechodzili przez tę placówkę byli szpiegami specjalnymi,
 przeciwnymi, którą zabierałam ze szpitala w dniu jego opuszczenia.

W dniu 17 kwietnia dostałam rozkaz o zmianie mego miejsca postoju. Przyszła łączniczka, która doskonale znała teren, z zadaniem doprowadzenia mnie na nowe miejsce postoju. Przebrałam się za ~~szkólkę~~ chłopkę i poszłyśmy w nieznane. W tych stronach posterunki niemieckie były tak gęste, że trzeba było mieć dobrze otwarte oczy i uszy, by nie wpaść i ich ręce. Szczęśliwie udało nam się przejść wszystkie niebezpieczne miejsca. O zmroku byłyśmy nad jakąś rzeczką, która dzieliła mnie od lasu. Najbliższa wioska nazywała się Rymacze. Po drugiej stronie rzeczki czekał na mnie łącznik, żołnierz. Łączniczkę oddałam wypożyczone ubranie, pożegnałam ją i przeszłam rzekę, a następnie zameldowałam się w sztabie dywizji. Dowódcą dywizji był mjr Tadeusz Sztumberk-Rychter.

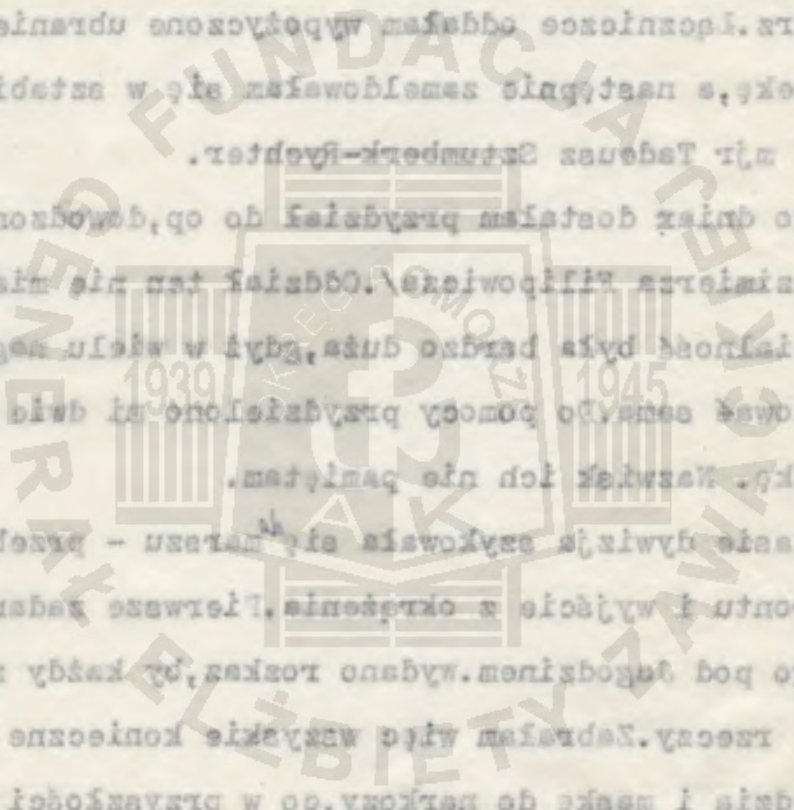
Następnego dnia dostałam przydział do oddziału dowodzonego przez porucznika Korda /Kazimierza Filipowicza/. Oddział ten nie miał lekarza, stąd moja odpowiedzialność była bardzo duża, gdyż w wielu nagłych wypadkach musiałam decydować sama. Do pomocy przydzielono mi dwie sanitariuszki, tj. Myszkę i Szyszkę. Nazwisk ich nie pamiętam.

W tym czasie dywizja szła ^{do} marszu - przebiec przez drugą linię frontu i wyjście z okrążenia. Pierwsze zadanie - przejście toru kolejowego pod Jagodzinem. wydano rozkaz, by każdy zabrał tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Zabrałam więc wszystkie konieczne leki, materiał opatrunkowy, narzędzia i maskę do narkozy, co w przyszłości bardzo mi się przydało. Opatrunki indywidualne rozdałam żołnierzom.

Przejście toru kolejowego pod Jagodzinem nie należało do łatwych zadań. Należałam do tej grupy, która w pierwszym rzucie przeszła tor bez walki i strat w ludziach. Pamiętam dobrze, że kiedy byliśmy już po drugiej stronie, w ciszy przedświt usłyszeliśmy stukot pociągu. Na rozkaz d-cy przywarliśmy do ziemi, z zapartym oddechem śledziliśmy przesuwającego się po torach pancernego potwora.

8XU8

W dniu 17 kwietnia dostaliśmy rozkaz o zmianie miejsca postoju. Przynajmniej jedna z nas, która doskonale znała teren, z zadaniem doprowadzenia nas do nowego miejsca postoju. Przeprowadziłam się na wspaniały chłopek i pozostawałam w nieznanej. W tych stronach postawili Niemcy takie strażnice, że trzeba było mieć dobre otwarte oczy i uszy, by nie wpadła ich w sidła. Szczerze mówiąc, uważaliśmy, że przepadłaby nam się przejazd, wszystkie niezbędne rzeczy zabrać z sobą. W tym czasie, która była dla nas od czasu. Wówczas w miejscowości nazwanej się Rybnice. Po drugiej stronie rzeki czekał na mnie żołnierz, który mnie przywitał, powiedział, że czekał na mnie i przesiadł się, a następnie zameldował się w sztabie dywizji. Dowodem był mjr. Tabara. Następnie dostaliśmy przykazanie do op. dowodzonego przez porucznika Korda (Kamiera Filipowicz). Oddział ten miał forsować, stąd moja odpowiedzialność była bardzo duża, gdyż w wielu miejscach wypadkach musiałam zdecydować o pomocy przydzielonej mi do sanitariuszki, tj. Marysi i Szymki. Nawet ich nie pamiętam. W tym czasie dywizja przesuwała się w kierunku - przemieścić się przez drugą linię frontu i wyjście z okrążenia. Pierwsze zadanie - przejście terenu kolejowego pod ładowniami. Wydano rozkaz, by każdy zabrał tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Zabrałam więc wszystkie konieczne leki, materiały opatrunkowe, materjały i masę do naroków, co w praktyce było bardzo mi się przydało. Opatrunki indywidualne rozdaliśmy żołnierzom. Przejście terenu kolejowego pod ładowniami nie należało do łatwych zadań. Wówczas do tej grupy, która w pierwszym rzucie przeszła tor bez walki i straciła w lądach, pamiętam dobrze, że kiedy byliśmy już po drugiej stronie, w ciemności przedziwiliśmy atak pocisku. Na rozkaz dowódcy przysiadliśmy do ziemi, a następnie oddechami słyszeliśmy przesuwającego się po torach pancernego potwora.



11/11/19

I tym razem szczęście nam sprzyjało, bo we mgle porannej nie zauważono nas, inaczej byłaby ogromna masakra. Nie wszystkim jednak udało się tego nocy przejść na drugą stronę. Niemcy pilnowali, a opóźnione oddziały miały spotkanie z tym właśnie pociągami pancernymi, z dużymi stratami. To było w biały dzień. Cofneli się ^{wie} z powrotem do najbliższego lasu i następnej nocy ruszyli. Ruszyli i szli, od początku do końca w huraganowym ogniu niemieckich karabinów maszynowych. Rezultat - straty duże. Część oddziałów nie przeszła. Pozostały tabory, kawaleria, mniejsze oddziały piesze.

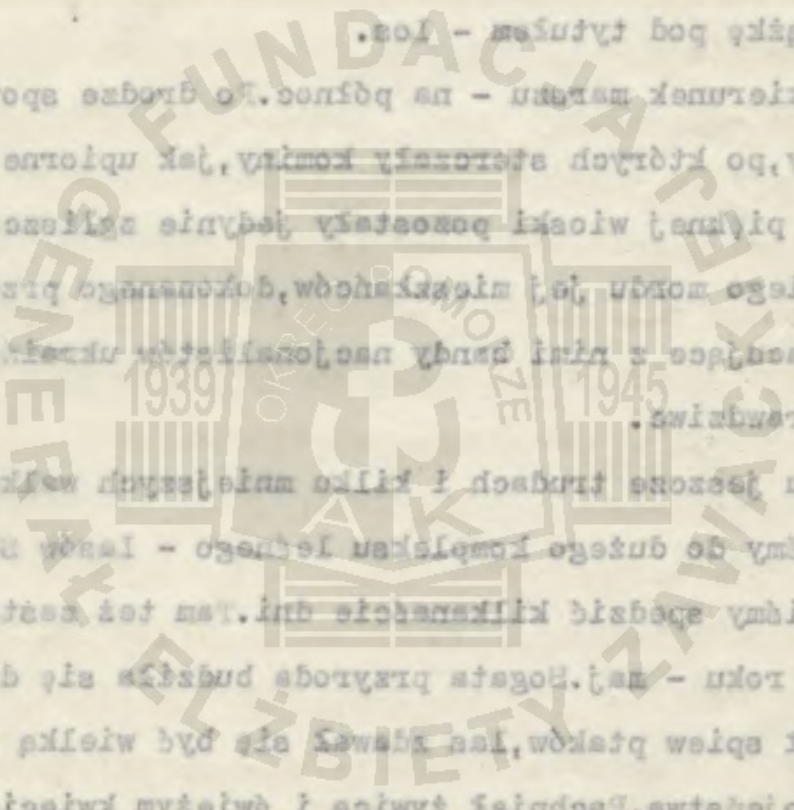
O tych właśnie rozbitkach i zagubionych w haosie walki, Henryk Pająk napisał książkę pod tytułem - Los.

Dalszy kierunek marszu - na północ. Po drodze spotykaliśmy spalone wsie i osady, po których sterczały kominy, jak upiorne demony śmierci. Z niejednej pięknej wioski pozostały jedynie zgliszcza, ślad walki lub barbarzyńskiego mordy jej mieszkańców, dokonanej przez dzicz hitleroską, lub współpracujące z nimi bandy nacjonalistów ukraińskich. Smutne to bardzo ale i prawdziwe.

Po wielu jeszcze trudach i kilku mniejszych walkach, w dniu 29 kwietnia dotarliśmy do dużego kompleksu leśnego - Lasów Szackich. W tych lasach mieliśmy spędzić kilkanaście dni. Tam też zastał nas najpiękniejszy miesiąc roku - maj. Bogata przyroda budziła się do życia, wszędzie rozbrzmiewał śpiew ptaków, las zdawał się być wielką świątynią, pełną spokoju i dostojeństwa. Pachniał żywicą i świeżym kwieciem bogatego runa.

Tam też przygotowaliśmy się do uroczystego obchodu święta 3 Maja. W przeddzień wieczorem została odprawiona uroczysta Msza Św. Ołtarz polowy zbudowano między dwoma drzewami. Najbliżej kwaterujące oddziały ustawiły się w szykach rozwiniętych. Podczas Mszy Św. po raz drugi złożyliśmy przysięgę na wierność Ojczyźnie. Zabrzniał potężny śpiew - Chwacie łąki umajone i na zakończenie - Boże coś Polskę. Dla mnie były to chwile niezapomniane.

I tym razem szczegółnie nam opisywałeś, do czego porannej nie zwracał
 no nas, inaczej byłyby ogromne masakra. Nie wszystkim jednak udało się
 nocą przebiec na drugą stronę. Niemcy pilnowali, a oddziałom oddziały mia-
 ły spotkanie z tym właśnie podległym pancernym, z dużymi stratami. To były
 w dzień dzień. Co dzień się powrotom do najbliższego lasu i następnaj
 nocą trwały. Wszedli i szli, od początku do końca w huraganowym ogniu
 niemieckich karabinów maszynowych. Rezultat - straty duże. Część oddzia-
 łów nie przetrwała. Pozostały tabory, kawaleria, mniejsze oddziały piezo-
 tych właśnie rozbitkach i zaginionych w haśle wałki, Henryk Tajak
 napisał książkę pod tytułem - Los.
 Dalszy kierunek marszu - na północ. To bardzo spotykały się spalone
 wałe i czołgi, po których straszyły komuny, jak upiorne demony śmierci.
 Nie udało się widać pozostały jedynie szkielety, ślad wałki lub
 barbarzyńskiego mordy, jak mierzwińców, dokonanych przez dżica hitlerowską,
 lub wzdłuż przetrwał z nimi bandy najeźdźców. Wszędzie to bar-
 dzo ale i prawdziwe.
 Po wielu godzinach trudach i kilku minutach wałkach, w dniu 29 kwiet-
 nia dotarliśmy do dużego kompleksu lasowego - lasu szlacheckiego w tych lasach
 lasach mieliśmy spędzić kilkanaście dni. Tam też został nas na pięć dni, jak
 szły miesiąc roku - maj. Bogata przyroda budziła się do życia, wzdęta
 rozprzemiawiał śpiew ptaków, las zdawał się być wielką świetliną, pełną spo-
 koju i dostojności. Pochłaniał światło i świeżym kwieciem bogatego runa.
 Tam też przygotowaliśmy się do urządzającego obozów 3 maja
 w przedzialej wiosnem zostaliśmy objawiona urządzona 28.05.04. Cóż po-
 łoży obudowano między dwoma drzewami. Najbliższej kwaterny oddziały
 ustatkowały się w szarych rozwinętych. Podczas nocy 28. po raz drugi zio-
 łąliśmy przybieg na wieńców 0. Jazdnie. Zaprzedział potężny śpiew - Gwa-
 oie jakimi umiemy i na zachowanie - Bóg cod Polak. Dla mnie były to
 chwile niezapomniane.



Niestety. Tutej też nie dane nam było zażywać odpoczynku, bo tej właśnie nocy, tj. z 2 na 3 maja, przed świtem usłyszałam pierwsze pojedyncze strzały karabinowe. Natychmiast obudziłam dowódcę, ale on zlekceważył mój meldunek, mówiąc - śpij spokojnie, to trzaski trzeszczą. Tak, trzaski, bo obok nas był rozłożony oddział pod dowództwem porucznika Trzaska. Nie zdążyłam ponownie zasnąć i usłyszałam jak gdzieś niezbyt daleko gra karabin maszynowy. Tym razem Kord zerwał się natychmiast i ogłosił alarm dla całego oddziału. W jednej chwili wszyscy byli na nogach, a Kord wydał odpowiednie rozkazy i zaczęło się. A więc zamiast uroczystości związanych z rocznicą 3 Maja, była całodzienna walka. Wszyscy mieli co robić, a najważniejsze to chyba to, że odwaga nie opuszczała nas ani na jedną chwilę. Pamiętam, jak czołg niemiecki był może nie dalej jak 30 metrów ode mnie. Nie bałam się, nie zdawałam sobie sprawy z grożącego mi niebezpieczeństwa, byłam wszędzie tam gdzie moja pomoc była potrzebna. Do pomocy miałam dwie sanitariuszki, które poprzednio odpowiednio przeszkoliłam. Dzielne dziewczuszki, dzielnie przeszły przez pierwszy chrzest bojowy. Była to pierwsza walka, w której oddział Korda brał udział, od chwili mego przybycia do niego. Miałam więc pierwszych rannych, całkowicie oddanych pod moją opiekę.

Pobyt nasz w lasach Szackich trwał dłużej niż to poprzednio przewidywano. Przez kilkanaście następnych dni panował spokój, ale w tym czasie to nie mieliśmy żywności. Głód zaczynał dokuczać. Kawałek chleba był jak rarytas. Trzeba było sięgać do leśnego runa. Mnie najbardziej smakował zajęczy szczaw, a tak zwane żelazne porcje dawno się skończyły.

12/11/22

12/11/22

niezależny. Tutaj też nie dane nam było zaszywać odpowiednio, do tej
wielkiej nocy, tj. z 2 na 3 maja, przed świtem uszyliśmy pierwsze pojedyn-
cze strzały karabinowe. Natychmiast obudziliśmy się, ale on zlekceważył
mój meldunek, mówiąc - śpij spokojnie, to strażki trzeszczą. Tak, strażki,
do obok nas był rozłożony oddział pod dowództwem porucznika Traska.
Nie zdążyliśmy ponownie zasnąć i uszyliśmy jak gdzieś niedużo daleko gra-
karabin maszynowy. Tym razem Kord zerwał się natychmiast i ogłosił alarm
dla całego oddziału. W jednej chwili wszyscy byli na nogach, a Kord wybiegł
odpowiednie rozkazy i zaczęli się. A więc zamiast uroczystości
związanych z rocznicą 3 maja, była co najmniej wielka. Wszyscy mieli co
robić, a najważniejsze to chyba to, że obywateli nie opuszczali nas ani na
jedną chwilę. Pamiętam, jak ktoś niemiecki był może nie daleko jak 30
metrów ode mnie. Nie bałem się, nie zdawałem sobie sprawy o groźnego
mi niebezpieczeństwa, tylko walczyłem tam gdzie było pomoc była potrzebna.
Do pomocy miałem dwie sanitariuszki, które poprzednio odpowiednio prze-
szkolili. Dobre dziewczynki, bardzo przemyślane i pierwsze chrześ-
ciotki. Właśnie to pierwsze walczyło, w której oddziałem była przed nami, od
chwili tego przybycia do niego. Miałem więc pierwszych rannych, ośkowi-
cie oddanych pod moją opiekę.
Wszystko w lasach ścisłych trwało dłużej niż to poprzednio prze-
widywano. Trzes kilkanaście następnymi dni panował spokój, ale wkrótce
to nie miałyby żywności. Gdy zaczęli dokuczać. Kawałek czasu był jak
ręczęta. Trzeba było sięgnąć do lewego rękawa. Mnie najbardziej smakował
zapach saszki, a tak zwana ślana porcja dawno się skończyła.

Ponieważ pozostawaliśmy w lasach Szackich dość długo, a moi ranni byli w bardzo prymitywnych warunkach, d-ca zdecydował, że mam odstawić ich do pobliskiego szpitalika, gdzie był lekarz, no i zupełnie inne warunki dla chorych. Odwiozłam moich chłopców i przekazałam ich w odpowiednie ręce. Tak mijaly dni oczekiwania, w tym czasie miał być zrzut ~~kkkkkzazazazazaz~~ z samolotu leków, opatrunków i broni. Pamiętam była noc, siedzieliśmy wszyscy przy ognisku w ogromnym skupieniu, aż usłyszeliśmy warkot samolotu. W oznaczonym miejscu paliło się ogromne ognisko, tam miał nastąpić zrzut. Tak też się stało. Otrzymałam nowe zapasy leków, co mnie bardzo ucieszyło, bo mogłam zaopatrzyć swoją połowę apteczki. Minęło dwa dni, a ja wciąż myślałam o swoich rannych, nie mogłam wytrzymać i zapytałam d-cę, czy mogę pójść zobaczyć jak się czują moi chłopcy. Naturalnie otrzymałam pozwolenie. Natychmiast poleciałam do nich lotem strzały. Jak bardzo byłam rozczarowana, kiedy zobaczyłam ich a oni krzyknęli - Siostro! Proszę nas stąd zabrać, bo nam jeszcze nikt nie zmieniał opatrunków. Jest nam tu bardzo źle. Wolimy u siostry leżeć na trawie pod gołym niebem, jak tutaj na łózkach i w mieszkaniu. Co robić? Przecież sama nie mogłam decydować, ale im obiecałam, że po powrocie do oddziału zaraz zamelduje naszemu d-cy. I tak też uczyniłam. Kiedy opowiedziałam jak jest w tym szpitalu, na rozkaz nie musiałam długo czekać. Dowódca z miejsca kazał zaptęgać konie i razem ze mną pojechał, aby z powrotem zabrać naszych rannych do oddziału. Jaka była radość tych moich biedaków kiedy zobaczyli, że wchodzę uśmiechnięta - wiedzieli, że wrócą do macierzystej jednostki.

Nasz d-cy por.-Kord- był dla nas wszystkich jak ojciec, tak dbał o żołnierzy, a szczególnie przejmował się każdym rannym i tyłko pytał mnie - powiedz jak z nimi jest. Dał mi szeroki wachlarz działania i decyzji, jeśli chodzi o zabiegi, bo przecież byłam sama

Ponieważ pozostawiliśmy w lasach drzewa, a nie
 ranni byli w bardzo przykrych warunkach, a nie
 odstawili ich do pobliskiego szpitala, gdzie był lekarz, no i au-
 -nie inne warunki dla chorých. Oczywiście moich obywateli i przeka-
 -zaliśmy ich w odpowiednim czasie. Tak miały dni oczekiwania, w tym ca-
 -sie miał być strut faktycznie z samolotu, a strutów
 i broni. W międzyczasie była noc, siedzieliśmy w przygniecionym ognisku w og-
 -romnym skupieniu, aż usłyszeliśmy wyciek samolotu. W oznaczonym
 miejscu paliło się ogromne ognisko, tam miał nastąpić strut. Tak też
 się stało. Strutaliśmy nowe zapasy żywności, co miało bardzo ucieszyło,
 do moim zapotrzebowaniu było przede wszystkim. Minęło dwa dni, a ja
 wciąż myślałem o swoich rannych, nie mogłem wytrzymać i zapomniałem
 o-ty, co mogłoby być dla nich pomocne. Jak się stało, że chorých. Wstrząśnięcie
 otrzymane pozwoliło nam przetrwać. W tym czasie do nich lotem strutów
 jak bardzo byłam rozczarowana, kiedy zobaczyłem ich a oni przyknieśli
 - strutów. Proszę nas stać z nimi, do nas, proszę nikt nie zmieniał
 opatrunków. Jest nam tu bardzo źle. Widać u siebie, że jest na trawie
 pod gołym niebem, jak tutaj na łąkach i w miejscach. Co robimy?
 Przecież sama nie mogłem decydować, ale ja odliczałem, że po powro-
 -cie do oddziału zaraz zamelduję naszymu d-ty. I tak też uczyniłem.
 Albo opowiedziałem jak jest w tym szpitalu, na rozkaz nie musiałem
 długo czekać. Dowiedziałem się, że ma być zaprowadzić konie i razem ze
 mną pojechać, aby z powrotem zaprowadzić naszych rannych do oddziału.
 Jaka była robota tych moich biedaków, kiedy zobaczyli, że wchodzi
 uśmiechnięta - wiedzieli, że wrócę do macierzystej jednostki.
 Nasz d-ty por.-Kord - był dla nas wyjątki, jak ojciec, tak
 dbał o żołnierzy, a szczególnie przejął się każdym rannym i ty-
 ko pytał mnie - powiedz jak z nimi jest. Dał mi szeroki wachlarz
 działań i decyzji, żeby ich oświecić, do przelotu byłam sama

4125

bez oparcia o jakąś siłę fachową jak lekarz, nie miałam tej etykiety. W wielu wypadkach musiałam więc decydować sama, a rannych wciąż przybywało, bo prawie codziennie była jakaś potyczka z Niemcami.

Nadszedł moment kiedy trzeba było zwijać manatki i maszerować dalej. Otrzymałam rozkaz, żeby przedzierać się poza linię frontu. Byliśmy wówczas w ciągłym marszu, najczęściej nocnym a dzień był dla nas odpoczynkiem. Zapadaliśmy gdzieś w lasy i tam od nowa zmiana opatrunków i kombinowanie jak nakarmić chorych i co im dać zjeść, było coraz gorzej z prowiantem. Wsie popalone, wszędzie pustka. Gdzieś niegdzie na pastwisku pasła się jakaś krowa, to żołnierze wodoili, ja, było trochę mleka - gdzie indziej kopiec z kartoflami i tak ktoś latało się biedę z dnia na dzień.

Mimo tych wszystkich braków, było względnie dobrze dopóki maszerowaliśmy po suchym terenie, bo mogły za nami jechać tabory z rannymi, co znacznie nas odciążało, ale i to się szybko skończyło. Przyszła chwila, że trzeba było porzucić wszystkie tabory, bo weszliśmy w takie bagna, że nie było mowy o wozach i koniach. Musieliśmy pomyśleć jak transportować rannych. Pomysł był prosty. Zrobiliśmy prowizoryczne nosze. Jak to wyglądało? Dwa kije przeplatane wikliną, a na to wszystko kładło się koc i tak nosze były przygotowane. Wtedy trzeba było pomyśleć o noszowych. Takiego jednego rannego musiał mieć czterech żołnierzy, na zmianę. Było to bardzo uciążliwe, ale rannych nie można było zostawić na pastwę losu. Tak posuwała się nasza kolumna i brnęła w coraz większe bagna. Był to Rm-Polesia czar-, piękny w piosence, a rzeczywistość była makabryczna. Tak szliśmy przez bagna i moczary, droga coraz trudniejsza, a żołnierzy wyczerpani, głodni i nieodłączne towarzyski żołnierza -

2412

24126

bez operacji o jakas silę technowę jak lekarz, nie miałem tej ety-
 kietki w wielu wypadkach musiałem wię zdecydowac sama, a rannych
 wojsk przyzywalo, do prawie codziennie była jakas potyczka z Niem-
 cami.

Nadzedł moment kiedy trzeba było zwieść manatki i maszero-
 wac dalej. Otrzymałem rozkaz, żeby przedziarad się poza linie Tre-
 ntu. Wyliśmy wówczas w ciągłym marszu, na jeżdżącej nocnym a dzień
 był dla nas odpooczynkiem. Zapadaliśmy gdzieś w lasy i tam od-
 nowa zmianę opatrunków i kombinezonów jak nakarmił chorzych i co-
 im dać zjeść, było coraz gorzej a prowiantem. Ważne popalone, wazędzie
 puatka. Gdyż niegdzie na pastwisku pasła się jakas krowa, to ścinie-
 rze wodolili, ja, było trochę mleka - gdzieś indziej kopiec z karto-
 klami i tak kmi zostało się bledę a dnia na dzień.

Kimo tych wszystkich braków, było wazędzie dobre godki na-
 ezrowaliśmy po suchym terenie, do moży na nami jeżdżad tabory z
 rannymi, co znaczenie nas obdiazalo, ale i to się szybko skonczylo.

Trzyzadł moment, że trzeba było poruczyć wszystkie tabory, do waz-
 lity w takie bagno, że nie było mowy o wozach i koniach. Musiałem
 pomysleć jak transportowad rannych, Tomasz był prosty. Zrobiliem
 przewozowe nosze. Jak to wygladalo? Dwa kije przeplatane wikli-
 na, na to wszystko kładło się koc i tak nosze były przygotowane.

Wtedy trzeba było pomysleć o noszowych. Takiego jednego rannego
 musiało mieść czterech żołnierzy, na zmianę. Było to bardzo uciąż-
 liwe, ale rannych nie można było zostawić na pastwę losu. Tak postu-
 wala się nasze kolumna i brnęła w coraz więkze bagno. Był to ka-
 -łolecie czar-piękną w piosenke, a rzeczywistobd była makabryczna.

Tak szliśmy przez bagno i noczery, droga coraz trudniejsza, a żoł-
 nierzy wyczerpani, i głodni i niedobrze twarzyski żołnierze -

7/1/24

partyzanta- wszy.

Bałam się jednego - aby do oddziału nie zakradł się tyfus. Ponieważ wszyscy żołnierze byli szczepieni, to prawdopodobieństwo zachorowania było minimalne. Jakoś obeszło się bez tych powikłań.

Warunki otoczenia wytwarzają odporność, tak i my przyzwyczailiśmy się do tego bagnistego terenu. Zdawało się nam, że innej drogi, gdzie można stanąć stopą na twarde gruntu, nie ma. Bywało i tak, że odpoczynek odbywał się na bagnach, chorych wtedy układałam na kępkach, trzeba było dobrze gimnastykować się, aby skoczyć od jednego do następnego chorego. Pracy przy nich było dość dużo, trzeba było zachować higienę ciała, a to było bardzo problematyczne, mydła już dawno nie było. Nawet o wodę było trudno, bo bagienna woda była bardzo zamulona, trzeba było przecedzać przez gazę, przegotować i wtedy była zdatna do picia. Zapas wody musiałam mieć, bo pragnienie jest jeszcze gorsze niż uczucie głodu, nieraz kropla wody była cennym nabytkiem i musiałam ciągle myśleć aby jej nie zabrakło.

W tym okresie było piekło, linia frontu była coraz bliżej, a my nie mogliśmy się przedrzeć - Niemcy dobrze pilnowali wszystkich przejść. Ciągłe walki, które najczęściej miały miejsce o świcie, a żołnierze po nocnym marszu byli bardzo zmęczeni, to mimo tego, gdy zagrały karabiny maszynowe, każdy z nich był gotowy do akcji. Nasi chłopcy byli bardzo dzielni, odważni i tak nienawidzili wroga, okrutnego barbarzyńcę, że walczyli jak -młode lwy-.

Po każdej takiej ~~akcji~~ bitwie przybywało rannych i znów miałyśmy pełne ręce roboty, moje sanitariuszki też zaprawiły się i stały się odporne na wszelkie zewnętrzne bodźce. Szły tam, gdzie się toczył największy bój, bo wiedziały, że muszą tych których ugodziła kula lub odłamek pocisku, szybko odciągnąć w bezpieczne miejsce.

partyzantów - wazy.

Balam się jednego - aby do oddziału nie zakreśli się tyfus.
 Tomiwaś wazyący żołnierze byli szczepieni, to prawdopodobnie
 zachorowania było minimalne. Jakoś opasło się bez tych powikłań.
 Warunki otoczenia wytwarzają odporność, tak i my przyrzęca-
 ility się do tego baginiatego terenu. Zdawało się nam, że inne, dro-
 gi, gdzie można stanąć stopą na twardej gruncie, nie ma. Bywało i tak,
 że odpoczynek odbywał się na bagnach, chorzy wtedy układałam na
 kępkach, trzeba było dobrze gimnastykować się, aby skoczył od jed-
 nego do następnego chorogo. Trzeci przy nich było dość duże, trzeba
 było zachować higienę ciała, to było bardzo problematyczne, myśla-
 łyśmy gawno nie było. Nawet o wodę było trudno, do bieżącej wody była
 bardzo kamionowa, trzeba było przecedzać przez gaz, przygotować i
 wtedy było odstawo do picia. Czasem wody kupałam miód, do przetrze-
 jest jeszcze gorzej niż u nas, chociaż trochę wody była cen-
 nym nabytkiem i musiałam ciągle wyłazić aby jej nie zaprzęka.

W tym okresie było piekło, linie frontu były coraz bliżej,
 my nie mogliśmy się przesunąć - Niemcy dobrze pilnowali wszystkich
 przejazdów. Ciągłe walki, które naszały między miejscami o świecie,
 żołnierze po nocnym maraszu byli bardzo zmęczeni, to mimo tego, gdy
 zaczęły karabińskie maszynowe, każdy z nich był gotowy do akcji. Nasi
 chłopcy byli bardzo dalekimi, odważni i tak nieznawidzili wroga, krut-
 nego barbarzyńcy, że walczyli jak - młode lwy -.

To każdej takiej akcji bitwie przybywało rennych i nowo mia-
 ility pełne ręce roboty, moje sanitariuszki też zaprawiły się i sta-
 ły się odporne na wszelkie zewnętrzne bodźce. Szły tam gdzie się
 toczyły najcięższe bitwy, bo wiedziały, że muszą tych których ugoda-
 ły lub odzimek poczekać, szybko odciągnąć w bezpieczne miejsce.

Przechodziliśmy przez wsie jak: Wólka Ratneńska i Smolary. Wiewsi nie pamiętam nazwy, ale w Smolarach był odpoczynek. Wieś spalona, wyludniona, tylko gdzieś niegdzie sterczały chałupy opuszczone przez ludność, tam ulokowałam rannych i znów trzeba było myśleć o posiłku dla nich. Cłopcy zrobili wypad, tzw. -bambioszkę- i zawsze coś przynieśli. W pierwszym rzędzie należało nakarmić cłgorych, to było bardzo ważne, by mieli trochę kalorii i odporność do szybkiego wylizania się z ran. Smolary zapamiętałam bardzo dobrze, a to dlatego, że rankiem kiedy wyehodziliśmy ze wsi na wąską drogę, gdzie oddział musiał iść -gęsiego-. D-cy szedł na przedzie, a ja z moimi rannymi w środku kolumny, nagle usłyszałam huk, zobaczyłam kłęby dymu i tuhan kurzu. Była to mina, która się rozerwała pod stąpniciem. Min było tam dużo, bo nacjonalisci ukraińscy zabezpieczyli wieć przed Niemcami. Musiało to trafić na nas; znów masa rannych a nawet śmiertelnych. Między innymi został ranny nasz d-ca, szczęście że lekko. Najbardziej miał zapruszone oczy, które nie miłosiernie go bolały i niesamowicie piekły. Inni byli tak poharatani, że nie było co zbierać, mieli pourywane kończyny, a jednemu z nich mina rozniosła całą twarz. Widok był okropny. Ten człowiek z wypływającym z czaszki muzgiem wołał aby go dobito. To było niehumanitarne i nikt tego nie zrobił, a ja cóż mogłam mu pomóc, wstrzyknęłam morfinę żeby mniej cierpiał. Ponieważ w pobliżu znajdował się szpitalik partyzantów radzieckich, gdzie byli lekarze, tam też odesłano naszych ciężko rannych, potrzebujących zabiegów hirurgicznych. Ten z rozerwaną twarzą skonał w czasie transportu. Pochowano go w przydrożnym rowie. Taki był koniec wojaczki tego dzielnego żołnierza. Przeżywałam wiele podobnych wypadków, które kończyły się bardzo tragicznie.

Przebadaliśmy przez wiele lat: Włókna Karmazynowe i Smoleńskie. Wiele
 wai nie pamiętam nazwy, ale w Smoleńsku był odznaczony. Wiele opłoni
 Wybudowano, tylko gdzieś niegdzieś sterowały ciężary opuszczone przez
 Indonez, tam ulokowane rannych i znów trzeba było wyjechać o poszuki
 dla nich. Ciężcy zrobili wypad, tam - pamiątkę - i zawsze coś przy-
 nieśli. W piętrowym rzędzie należało nakarmić ogrych, to było bar-
 dzo ważne, by mieli trochę kalorii i odpowiednio dożywkę. Wylicza-
 nie się z tym. Smoleńskie zapamiętałem bardzo dobrze, a to dlatego, że
 rankiem kiedy wychodził, że wsiadł na wózek drogę, gdzie oddał
 musiał iść - gwałtownie - D-ty szedł na przód, a ja z moimi rannymi
 w środku kolumny, nagle usłyszałem huk, zobaczyłem kłępy dymu i tu-
 man kolumny. Była to mina, która się rozprysła pod stopami. Minęła
 to tam daleko, nie pamiętam, ale nie pamiętam, nie pamiętam, nie pamiętam
 Niemcom. Należało to trochę na nie; wtedy nasz rannych a nawet śmier-
 telnych. Między innymi został ranny nasz 8-cy, stracił 80 latko.
 Najbardziej mi się przypomina osoby, które nie miały nic do pomocy
 i nie pamiętam imienia. Tam byli tak podobnie, że nie było co
 zjadł, mieli porządnie kochany, a jedzenie z nich miało pozostać
 cała twarz. Wózek był okropny. Ten człowiek z wypływającym z czasz-
 ki musiał wolać aby go zabito. To było niehumanitarne i nikt tego
 nie zrobił, a ja od mojego w powód, wstrząsnął moją duszę
 miał ciężki. Ponieważ w pobliżu znajdował się szpitalik party-
 zantów radzieckich, gdzie byli lekarze, tam też obserwowano rannych
 ciężko rannych, potrzebujących zabiegów chirurgicznych. Ten z rozzer-
 wną twarzą skonał w czasie transportu. Pochowano go w przydrożnym
 rowie. Taki był koniec wojacki tego dalszego żołnierza. Przesyła-
 kam wiele podobnych wypadków, które kochają się bardzo tragicznie.

38117

I/1/31

Nie pamiętam miejscowości, a musieliśmy przejść nocą obromne bagno, trzęsawisko, gdzie każdy krok - to zanurzenie się do pasa w błocie, trzeba było dobrze wyczuwać aby się nie utopić w tym bezdennym błocie. Ranni jakoś szczęśliwie zostali przeniesieni, nad czym sama czuwałam. Tak maszerowaliśmy głodni, wycieńczeni i zmarznięci do szpiku kości. Przemoczone ubrania wysuszaliśmy ciepłem swojego ciała.

Znowu zapadliśmy w jakieś lasy, a jaką miały nazwę tego nie mogę sobie przypomnieć. Tam odpoczywaliśmy bardzo głodni. Trzeba było mieć ogromną siłę woli, aby nie zrobić jakiegoś głupstwa, bo głód jest bardzo złym doradcą, a mężczyźni są mało odporni na głód. Niektórzy żołnierze zaczęli na własną rękę uciekać z oddziałów, bo myśleli, że w pojedynkę lepiej sobie poradzą. Jak się skończyła dezercja opiszę w dalszych wierszach.

Pamiętam, był 22 maj - moje imieniny, a mój d-ca składając mi życzenia powiedział, że w prezencie nie może mi nawet ofiarować kawałka chleba. Taka była prawda - okrutna. Dzień był piękny, pogodny, słońce przygrzewało, las pachniał żywicą, świergot ptactwa umilał nam życie, wszędzie czuć było piękno wiosny. Może i ja poddałam się czarowi tej precudnej pory roku, marzyłam o domu. Jak by to było dobrze być wśród swoich bliskich. Mama napewno zrobiłaby mi jakąś niespodziankę, a ja myślałam tylko o dobrym kąsku. Takie bardzo prozaiczne rozmyślenia. Cóż, dzień upłynął szybko. Tej nocy mieliśmy przejść tor kolejowy Kowel - Brześć. Przygotowałam swoich rannych do trudnego marszu. Tak jak dzień był piękny, słoneczny, bez żadnej chmurki, wiedzór przyniósł okropną pogodę. Zaczęły nadciągać kłębiaste chmury, zerwał się sily wiart i zaczął padać deszcz. Pogoda wymarzona na taką eskapadę.

33

III 3 10 22W 17 EN 26.2

nie pamiętam miejscowości, a musielibyśmy przejechać nocą obrotami
 bagno, trzęsawisko, gdzie każdy krok - to zranienie się do pasa
 w błocie, trzeba było dobrze wyszukać aby się nie utopił w tym
 bezdennym błocie. Ranni jakoby zaczęli w końcu przemieszani, nad
 czym sama czuwałam. Tak maszerowaliśmy godzinami, wycieńczeni i zmarz-
 nięci do szpiku kości. Przemoczono ubrania wywaraliśmy ciepłym
 swojego ciała.

Znowu zapadliśmy w jakiejś lasy, a jak miałam nazwę tego lasu
 mogę sobie przypomnieć. Tam odpoczywaliśmy bardzo godzinami. Trzeba by-
 ło mieć ogromną siłę woli, aby nie zrobić jakiegokolwiek głupstwa, do gdzie
 jest bardzo silny dym, a męczący, aż mało odporni na niego. Nie-
 którejś żołnierze zaczęli na własną rękę uciekać z oddziałów, do-
 myśleli, że w podobnym rodzaju sobie poradzą. Tak się okazało, że de-
 szerża ogień w dalszych wierzchołkach.
 Pamiętam, że 22 maj - moje imieniny, a miałam 16 lat. Wtedy
 życzenia powiadałam, że w przyszłości nie może być nawet ożenów
 kawalka chleba. Taką była prawda - chlebna - chleb był piękny, pogod-
 ny, słońce przyprawiało, las pachniał żywymi, wietrzył powietrze uni-
 faj nam życie, wędznie całe było piękno wiosny. Może i ja podobnie
 się czułam tej przedostatniej nocy, marzyłam o domu. Tak by to by-
 ło dobrze być wśród swoich bliskich. Mama napewno zrodziły mi ja-
 kąd niepodobnie, a ja myślałam tylko o dobrym koku. Takie bardzo
 precyzyjne rozmyślenia. Gdyś, dachem upłynął szybko. Tej nocy miałam
 przejechać tor kolejowy Kowel - Brześć. Przygotowałam swoich rannych
 do trudnego marzu. Tak jak dachem był piękny, słońce, bez żadnej
 chmurki, widać przyniósł okropną pogodę. Zaczęły nadchodzić kie-
 piaste chmury, zerwał się silny wiatr i zaczęły padać deszcz. Pogoda
 wymarzona na taką eskapadę.

I znów zapytałam d-cę, w którym miejscu kolumny mamy iść z rannymi. Odpowiedź była krótka - Czy chorzy są zaopatrzeni, a jeśli tak, to rannymi zajmą się żołnierze, a wy będziecie szły za d-twem. Tak jest, rozkaz! Odpowiedziałam. Jeśli można tą noc porównać z otchłaniami piekła, to nie wiem czy w czeluściach tego przybytku było ciemniej, jak w tą przeklętą noc przy przechodzeniu toru. Było tak ciemno, że o krok nie można było rozpoznać postaci. Dla ułatwienia orientacji każdy żołnierz przyczepiał na plecy kawałek białej szmaty. Pioruny, błyskawice i padający deszcz był w tym czasie naszym największym sprzymierzeńcem, bo w tym czasie jak podchodziliśmy do toru kolejowego, a przy torach znajdowały się bunkry niemieckie, gęsto rozmieszczone, a dywizja to przecież nie moło luda. Tupot nóg tyło tysięcznej armii mógł zorientować Niemców o jakimś podejrzanym ruchem, lecz grzmoty piorunów i ulewny deszcz głuszyły nasze ruchy.

Nadszedł świt - szczęśliwie przeszliśmy tę drogę - golgotę. Byliśmy wszyscy wykończeni fizycznie i psychicznie, dopiero po wejściu w las nastąpił zasłużony odpoczynek. Wielu żołnierzy pogubiło się i trzeba było wysłać patrole w celu ich odszukania. I znów zaczęła się praca nad rannymi i dopiero kiedy wszyscy zostali zaopatrzeni i nakarmieni, mogliśmy pomyśleć o sobie, żeby trochę chwycić snu. Nie zawsze nam się to udawało. Nie raz i nie dwa ~~bywało~~ tak bywało tak, że jest spokój, cisza, coś się ugotuje, nagle alarm, trzeba wszystko rzucić i głodni, niewypoczęci, musimy stoczyć bitwę i wycofać się z rannymi.

Nie pamiętam daty, a było to pod koniec maja, lub na początku czerwca, nazwy miejscowości też nie pamiętam - ten dzień był piekłem dla nas, od świtu walka, walczyły wszystkie oddziały. D-ca dywizji

I znów zapomniałem d-02, w którym miejscu kolony były i jak się
 odbyły. Odpowiedź była krótka - Główny obóz był w Krynicy, a jeśli
 tak, to w Krynicy znajdował się szpital, a wydział był w d-02.
 Tak jest, tak jest! Odpowiedziałem. Jeśli można to nie powiedzieć o
 zmianach, to nie wiem czy w szpitalu było przybytku było
 ciemnie, jak w tej chwili nie przy przedobudowaniu. Było tak
 ciemno, że o krok nie można było rozpoznać postaci. Dla ułatwienia
 orientacji każdy żołnierz przyczepiał na plecach kawałek białej sz-
 maty. Piórny, białawy i padał bezceń w tym czasie naszym
 największym przykryciem, do w tym czasie jak podchodził do
 toru kolejowego, a przy torach znajdowały się punkty niemieckie,
 gdzie rozmieszczone, a dźwięki to przesiał nie było. Tuż po
 tym czasie miał miejsce orientowanie. Wskazywanie o jakimś podjeź-
 dym, lecz gromy gromy i nieważne gromy gromy przez
 chy.

Nadzieję - szerokość przesiału - głębi - głębi.
 Byłoby ważny wykładni i psychologicznie, głębi po wej-
 ściu w las następny szpitalny odpowiednik. Wskazywanie głębi
 się i trzeba było wykład patrolu w celu ich odciążenia. I znów
 zaczęła się praca nad torami i głębi kiedy ważny został ka-
 opatrzeni i nakarmieni, mogliśmy powrócić do siebie, żeby trochę chwy-
 cido. Nie uważam się to uważać. Wskazywanie i nie dwa punkty
 tak było tak, że jest spokojnie, co się ugotuje, najnie
 trzeba wszystkim rano i głębi, nieważne, musimy trochę
 i wycofać się z torami.

Nie pamiętam daty, a było to pod koniec maja, lub na początku
 czerwca, nazwy miejscowości też nie pamiętam - ten data był dla
 kim dla nas, od czasu wielka, ważny wszystkie oddziały. D-02 dźwięki

major -Żegota- wydał rozkaz aby wszystkich rannych zebrać w jednym miejscu. Do wyznaczonego miejsca odniesiono i moich podopiecznych, ja, jak zwykle w takich przypadkach, odeszłam ostatnia.

Był piękny dzień, morze słońca, zieleni. Nie mam się czego śpieszyć - pomyślałam - i postanowiłam trochę posiedzieć, pomarzyć. niestety. Zaczęły grać -Katusze-. Siedziałam i patrzyłam jak ich pociski lecą, podobne do srebrnych ptaków, z okropnym gwizdem i wyciem. Zobojętniała na wszystko, przygnębiona, siedziałam i patrzyłam na te smiercionosne potwory - jak trafi we mnie taki, zostaną tylko strzępy, będzie koniec udręki, ale one przylatywały nade mną, wpadały w to bagno, następowała błoga cisza do czasu ukazania się na niebie drugiej serii. Wstałam i powoli doszłam do miejsca gdzie byli zebrani wszyscy ranni - na pięknej polanie. lekarz dywizyjny jak tylko mnie zobaczył powiedział, że mam się zająć wszystkimi rannymi i dopilnować, aby każdy miał zmieniony opatrunek i że ja jestem za to odpowiedzialna. Miałam więc dużo pracy, musiałam wszędzie być i wszystkiego dopilnować. Tak ^{wędrując} ~~krążyłam~~ po całym rozległym terenie, zatrzymałam się przy rannym jednym, przy którym spotkałam swoją znajomą z lat przedwojennych. Byłyśmy razem w harcerstwie - ona starsza rangą, a ja zwykłą druchną. Zdziwiła się bardzo gdy mnie tu zobaczyła i zapytała co ja tu robię. Pytanie trochę nie fortunne, ale odpowiedziałam - to samo co ty. Jaki jest twój pseudonim - zapytała. "Flora". Jak moją odpowiedź usłyszał pacjent, któremu ona robiła opatrunek, powiedział - To pani jest Flora, tą słynną Flora? O pani fama idzie po całej dywizji. Było mi bardzo przyjemnie słyszeć od nieznanego żołnierza, którego pierwszy raz widziałam, taką miłą wypowiedź. Nie pozwolił koleżance dokończyć opatrunku, musiałam ja to zrobić. Było mi bardzo przykro, ale pacjent był bardzo

małgorzata - wydała rozkaz aby wszystkie rannych zabrano w jed-
nym miejscu. Do wyznaczonych miejsc obciążono i takich podobnie-
nych, jak zwykle w takich przypadkach, obciążano ostatnia.

Był piękny dzień, morze spokojne, słońce jasne. Nie ma się czego prze-
żyć - pomyślałam - i postanowiłam trochę posiedzieć, pomarzyć.

Wszystko zaczęło się od - Katarzyna - siedziałam i patrzyłam jak ich po-
ciąg jedzie, podobnie do poprzednich pociągów, z okropnym gwarem i wyciem
Zobowiązań na wszystkie strony, przysięgam, siedziałam i patrzyłam na te
amerykańskie potwory - jak trafił we mnie taki, zostawił tylko ślad

Był, dajesz koniec ubrań, ale one przysiatywały nade mną, wpadały w to-
żegnano, następną dnia ciosa do czasu ukazania się na niebie dru-
giej serii. Wstałam i powoli dobiegam do miejsca gdzie byli nieprani

wszystko ranni - na pierwszym gołębim. Lekko dźwignęły jak tylko miały
zobaczyć powiadka, że mam się gdzie wystrząsać rannymi i dopilno-
wać, aby każdy miał odpowiedni opatrunek i że ja jestem za to obow-
wiązkowa. Wiedziałam więc dużo rzeczy, znałam wszystkie bydy i wszyst-
kiego dopilnować. Jak przetrzymać po całym rozległym terenie, naszym

Żam się przy rannym jednym, przy którym spotkałam swoją znajomą
z lat przedwojennych. Byłyśmy razem w harcerstwie - ona strasza
rannym, że zwykła dziewczyna. Wdziwiła się bardzo gdy mnie tu zob-
rzyła i spytała co ja tu robię. Pytanie trochę niefortunne, ale

odpowiedziałam - to samo co ty. Jaki jest twój pseudonim - spyta-
ła. Elżbieta. Jak moja odpowiedź nazwała pacjent, kłótnia ona robi-

ła opatrunek, powiedziała - To pani jest Elżbieta, ta siostra Klary? O
pani sama idzie po całej dźwignia. Było mi bardzo przyjemnie slysząc
słyszano od nieznajomego żołnierza, którego pierwszy raz widziałam,
taką miłą wypowiedź. Nie powoliła koleżance dokonasz opatrunku,
musiałam je to zrobić. Było mi bardzo przykro, ale pacjent był bardzo

I/1134

cierpiący, miał przestrzeloną prawą nogę w okolicy stawu kolanowego i ogromny obrzęk. Zrobiłam wszystko aby chory miał wygodę, a wtedy on powiedział, że jeszcze nikt go tak nie opatrzył, nigdzie go nie ~~xxx~~ uwiera i czuje się dobrze. Od tej chwili gdziekolwiek obowozowaliśmy przysyłał gońca ze swego oddziału, a ja chodziłam i robiłam mu opatrunki.

Tak trochę sama o sobie dla potomności. Zbliżał się wieczór, wszyscy byli zaopatrzeni, oddziały wycofała się z bitwy. Nowa niespodzianka. Zarządzono, że wszyscy wyruszmy dzisiejszej nocy i musimy przejść kanał Prypeci. Zanim to miało nastąpić musieliśmy przejść ogromne uroczysko, rozległe, niekończące się bagno. Jak przeżyliśmy tę dantejską noc, trudno opisać. Chorych pozostawiono pod opieką noszowych, a nam kazano iść za dowództwem . w pełnym rynsztunku i po pas, a czasem i wyżej, w błocie, okropnej i lepiącej się mazi. To było ~~ponad~~ ponad siły. Ponadto ze wszystkich stron sypały się pociski, schychać było ich piekielny syk i czerwone języki przelatujących kul, a od góry samoloty. ~~kwia~~ A więc noc straszna, serce ciągle w gardle, usta spieczone z wyczerpania i strachu, a dla zwilżenia przykładaliśmy tę obrzydliwą mazię błota. Tak brnęliśmy aż do kanału.

Powstał nowy problem, tj. przetransportowania rannych na drugą stronę i dla pozostałych przejście tego kanału. Niektórzy żołnierze nie umieli pływać i takich trzeba było holować. Okazało się już przy kanale, że jeden z pośród moich rannych pozostał na bagnie. Był nim trzynastoletni chłopiec - Maciuś -, który miał otwarte złamanie podudzia lewego i tego mego pupila zostawiono na bagnie. Nie mogłam tego przeboleć, a najbardziej tego, że przy nim był jego starszy brat. Widocznie ze zmęczenia stracił świadomość swego czynu

ciężko, miał przetrzeźniał prawą nogę w okolicy stawu kolanowego -
 go i ogromny obrzęk. Zrobiłem wszystko aby chorej miał wygodę, a wro-
 dy on powiedział, że jeszcze nikt go tak nie opatrzył, nigdzie go
 nie miał wiera i czuje się dobrze. Od tej chwili gdziekolwiek obo-
 zowaliśmy przysyłał gońca ze swego oddziału, a ja chodziłem i ro-
 białem mu opatrunki.

Tak trochę sama o sobie dla potomności. Kłócił się wieczór,
 wazy były zapatrzeni, oddziały wycofała się z bitwy. Nowa niepo-
 dzianka. Zarządono, że wazy wyruszą doświadczyć nocy i musiał
 przejechać kanał przycięci. Żadno to miało nastąpić musiałem przejechać
 ogromne urzeczywistnienie, rozległa. Niekoniecznie się zaczęło. Tak przesyłał
 tę dantejską noc, trudno opisać. Chorobę postawiono pod opiekę
 noszowych, a nam kazano iść do dowództwa. W całym szpitalu i
 po pas, a czasem i wyżej, w bloku, okropnie i ledwie się masi. To
 było karkołomne. Ponadto że wazy szły w kierunku szpitalu
 cieżki, schyłkowe było ich pleksy i wkrótce i ciężkie języki przelatu-
 jących kul, a od góry samoloty. Żadno A więc noc straszna, serce cięż-
 kie w gardle, usta spieczona a wyzerpanie i strachu, a dla zwiędnię-
 przysyłał to obrzydliwie masi. Błota. Tak przelaliśmy aż do kana-
 lu.

Towstał nowy problem, tj. przetransportowania rannych na drugą
 stronę i dla pozostałych przetrzeźniał tego kanału. Niektórzy żołnierze
 nie mieli pięt i takich trzeba było holować. Okazało się już
 przy kanale, że jeden z poręb moich rannych pozostał na bagnie.
 Był nim trzymastoletni chłopiec - Maciek - ,który miał otwarte rza-
 manie podudzia lewego i tego mego pupila zostawiono na bagnie.
 Nie mogłem tego przeboleć, a najbardziej tego, że przy nim był jego
 starszy brat. Widocznie ze zmęczenia stracił świadomość swego czynu

i rodzzonego brata pozostawił bez opieki. Dla usprawiedliwienia muszę dodać to, że w pojedynkę było bardzo trudno przechodzić przez to bagno, aco dopiero dźwigać nosze z rannymi. Tym faktem byłam tak oburzona, że w afekcie powiedziałam mu - Co powiesz matce, jak szczęśliwie wrócisz do domu? Spuścił głowę, łzy płynęły po policzkach.

Po przeprowadzeniu rannych i żołnierzy, z d-cą przepłynęłam kanał, drugą ręką podtrzymując lkm. Mała dygresja. Jesteśmy już po drugiej stronie, słyszymy okropny krzyk rannego - Mnie tu pozostawiono - . Okazało się, że to mój pacjent - podrzutek. Porucznik Kord kazał mu przestać krzyczeć, zamaskować się, bo chłopcy pozostawili nosze pod drzewem, w wysokiej trawie i czekać aż po niego przyjdą. Dołączyliśmy do oddziału. Był ranek, zaczął padać deszcz. Mnie spotkała wielka przykrość, bo jeden z oficerów, notabene przyjaciel mego brata, mówi mi - No cóż, pozostawiłaś rannych na bagnie, co? Miałam tego wszystkiego dość, krzyknęłam, zamilcz i rozplakałam się; było mi wszystko jedno. Zmęczenie, przeogromny żal, rozpacz i złość, wszystko to razem zmieszało się, usiadłam pod drzewem i tak łzy nie obeschły na policzkach i deszcz spływały razem. Zamknęłam oczy. Prawdopodobnie trochę zdrzemnęłam się, czuję, ktoś mnie trąca, były to moje sanitariuszki. Pytają, dlaczego ja płaczę. Odpowiedziałam - chyba to krople deszczu tak spływają po mojej twarzy.

Po walkach, przeprowadkach, musiałam się zająć rannymi. Cpatrunki to jeszcze pół biedy, gorzej, bo nie było im co dać jeść. Tak ja, jak i moje sanitariuszki, miałyśmy tak zwane żelazne porcje chleba. Nie było tego wiele, za ledwie po jednej trzeciej małego bochenka. Pomimo że same byłyśmy strasznie głodne, postanowiłyśmy ten chleb podzielić między rannych. Po podzieleniu, porcje okazały się mikroskopijne, wyglądały jak chostia, którą ksiądz komunikuje w kościele.

11/11/40

11/11/40

i rozumiejąc, że pozostał bez opieki. Dla usprawiedliwienia mu-
 że dodać to, że w pojedynkę było bardzo trudno przeszkodzić przez
 to bagno, aco dopiero dążyć nosze z ranami. Tym faktem byłam tak
 oburzona, że w efekcie powiedziałam mu - Co powiesz matco, jak zasze-
 głowie wrócisz do domu? Spuścił głowę, i aż plynęły po policzkach.

Po przeprowadzeniu rannych i żołnierzy, a ów przypłynął ka-
 nał, druga ręką podtrzymując lkm. Miał dyktując. Jesteśmy już po
 drugiej stronie, ażebyśmy okropny krzyk rannego - Mnie tu pozosta-
 wiono. Okazało się, że to mój pacjent - podbrutek. Porucznik Kord
 kazał mi przestać krzyknąć, zamaskował się, po chwili pozostał i
 nosze pod drzewem, w wąskiej trawie i czekał aż po niego przyjdę.
 Dołączyliśmy do oddziału. Był rannek, zaczął padać deszcz. Mnie spot-
 kała wielka przygnębiałość, po jeden z oficerów, notabene przyjechał na-
 go brata, mówi mi - No cóż, pozostał w ranach na bagnie, co? Miał
 tam tego wszystkiego dość, krzyknął, panika i rozpłakał się;
 było mi wszystko jedno. Zmęczenie, przegrzany żal, rozpacz i smutek,
 wszystko to razem zmieszanie się, uleciał pod drzewem i tak był
 nie opanie na policzkach i deszcz spływał razem. Zamknął oczy
 Przewodnie trochę odwróciłem się, czuję, ktoś mnie trąca, były
 to moje sanitariuszki. Wstał, chociaż ja płaczę. Odpowiedziałam -
 chyba to krople deszczu tak spływają po mojej twarzy.

Po walkach, przeprowadkach, miałam się zająć ranami. Opatrunki
 to jeszcze był biedny, gorzej, po nie było im co dać. Tak ja, jak
 i moje sanitariuszki, miałyśmy tak zwana żelazną porcję chleba. Nie
 było tego wiele, ależ w po jednej trzeciej małego bochenka. Pomimo
 że same byłyśmy strasznie głodne, postanowiliśmy ten chleb podzielić
 i dla miłych rannych. Po podzieleniu, porcję okazały się mikroskopijne
 wyglądały jak chostka, która każda komunikuje w kociole.

Ld2. 4374 WSK 01 2 7x7

Dowódca Dywizji major -Żegota- Tadeusz Sztumberk Rychter otrzymuje rozkaz radiowy Komendy Głównej, aby dywizja zamiast przedierać się za linię frontu udała się w kierunku Bugu i przeszła do GG. Niestety, część dywizji nie można było o tym powiadomić, gdyż zdążyła dojechać do linii frontu, tj. rzeki Prypeci. Był to oddział partyzancki - 23 ppp, dowodzony przez kapitana -Gardę-, Jana Rzenieka. Oddział ten przebijając się przez front w huraganowym ogniu. Drogo kosztowało to naszych partyzantów. Wielu w Prypeci utonęło i zginęło w podwójnym ogniu, gdyż z jednej strony strzelali Niemcy i od przodu żołnierze radzieccy, którzy przez pomyłkę wzięli naszych partyzantów za Niemców. Zginął tam d-c-a kapitan -Garda- i wielu innych oficerów. Ogólne straty przy przebijaniu się przez front wyniosły około 100 zabitych i utopionych, a prócz tego zebrano 120 rannych.

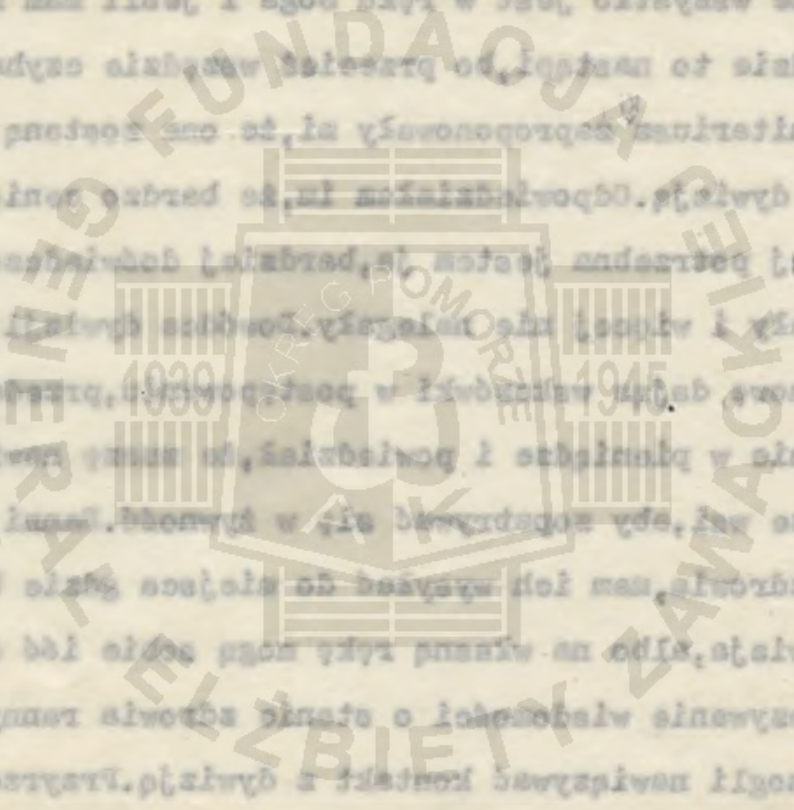
Dowódca dywizji zastanawia się co zrobić z rannymi, jak z taką wielką gromadą niedołężnych i ciężko chorych żołnierzy przekroczyć Bug. Zbiera cały sztab oficerów i po naradzie postanawia rannych pozostawić na tej stronie. Do marszu i forsowania Bugu muszą być żołnierze sprawni i wszyscy zdrowi, aby podołać takiemu zadaniu jak przejście Bugu; to nie strumyk, że można go przeskoczyć. Powstaje wielki problem, kto zostanie aby opiekować się tymi nieszczęśliwymi. Dowódca zwraca się do mnie, co ja o tym myślę. Byłam tak wstrząśnięta, że bez namysłu zaofiarowałam się pozostać z rannymi. Była to błyskawiczna chwila - a słowa wypowiedzianego nie mogłam cofać. Stało się! Decyzja była powzięta i tak postanowiono zorganizować moją nową placówkę. Były to Lasy Antonowskie, a w nich bagna i wyspy otoczone wodą. Na jednej z takich wysp zorganizowano szpital. Ze wszystkich oddziałów przywieziono rannych, wśród tych rannych znalazł się mój podopieczny porucznik -Lech-, Jerzy Fiedorow. Nazbierało się

WNT

Dowódca Działu I Major - Jędrzej - Tadeusz Szatanowski Dyktant straż-
 - nię rozkaz radiowy Komandy Działu I, aby Działu I został przesłany
 rad się na linię frontu ułoża się w kierunku Bugu i przemiesza do 60
 Kierunek, gdzie Działu I nie można było o tym powiadomić, gdyż sądy-
 za dojechał do linii frontu, tj. rzeki Prypeć. Był to oddział partyzan-
 cki - 23 pp, dowodzony przez kapitana - Gerdę - Jędrzej Szatanowski. Oddział
 ten przedzielił się przez front w kierunku ogniu. Prędko kołowało
 to naszych partyzantów. Wiele w tyłach uciekło i zginęło w podwój-
 nym ogniu, gdyż z tyłu strzelali Niemcy i od przodu żołnierze
 z radiem, którzy przez podwójną linię naszych partyzantów za-
 Niemców. Zginął tam 6-osobowy kapitan - Gerdę - i wielu innych oficerów.
 Ogólnie straty były przeliczane, ale przez front wyszły około 100
 rakiety i ułomki, a przez tego zabrakło 120 rannych.
 Dowódca Działu I zastanawia się co zrobić z rannymi, jak z taką
 wielką grupą niebezpieczną i ciężko chorą żołnierską przesłano
 Bug. Złota była metoda odosobnienia i do niebezpiecznych rannych
 pozostało na tej stronie. Do czasu i leczenia Bugu musi być do-
 jęcie sprawne i wszyscy żołnierze, aby podobać jakimś sposobem jak
 przesłać Bug; to nie straszak, że można go przesłano. Towarzystwo
 wielki problem, kto zostanie aby opalił się tymi niebezpiecznymi-
 mi. Dowódca swego się do mnie, co ja o tym myślę. Byłam tak wstrząs-
 nięta, że bez namyślnego rozważania się pozostał z rannymi. Była to
 dykatorska chwila - a słowa wypowiedziane nie mogłam cofnąć.
 Stało się! Decyzja była powzięta i tak postanowiono zorganizować
 nasz nowy placówek. Były to lasy Antonowickie, a w nich bagno i wycza-
 otoczono wodą. Na jednej z takich wyczą zorganizowano szpital. Na wyczą
 atkach oddziałów przywieziono rannych, wśród tych rannych znalazł
 się mój podopieczny porucznik - Jędrzej - Jędrzej Szatanowski. Niebezpieczność się

tych nieszczęśliwych około 30. Przydzielono mi do pomocy sanitariusza z oddziału -Motyla-, Zbigniewa Ścibora-Rylskiego, podchorążego -Krótkiego-, Witolda Siwadłowskiego i kilku żołnierzy do pomocy. Nastąpiło uroczyste pożegnanie. Dowódca dywizji z całym sztabem i kapelani, ks. -Rafał-, Antoni Dąbrowski i ks. -Prawdziec-, Antoni Piotrowski, zapytali mnie czy wiem jaki spoczywa na mnie obowiązek i czy podołam zadaniu i czy wiem, że zostaję na pewną śmierć. Odpowiedziałam, że wszystko jest w ręku Boga i jeśli mam zginąć, to wszystko jedno gdzie to nastąpi, bo przecież wszędzie czyha na nas śmierć. Moje sanitariusz^{Ki} zaproponowały mi, że one zostaną z rannymi, a ja pójdę z dywizją. Odpowiedziałam im, że bardzo cenię ich poświęcenie ale tutaj potrzebna jestem ja, bardziej doświadczona pielęgniarka; zrozumiały i więcej nie nalegały. Dowódca dywizji przeprowadził ze mną rozmowę, dając wskazówki w postępowaniu, przede wszystkim zaopatrzył mnie w pieniądze i powiedział, że muszę nawiązać kontakty z ludźmi ze wsi, aby zopatrzywać się w żywność. Ranni, którzy będą wracać do zdrowia, mam ich wysyłać do miejsca gdzie będzie się znajdowała dywizja, albo na własną rękę mogą sobie iść do domu. Prosił też o przekazywanie wiadomości o stanie zdrowia rannych, dopóki będziemy mogli nawiązywać kontakt z dywizją. Przrzekłam, że uczynię wszystko wedle rozkazu. Tak pożegnałam dowództwo i kolegów, a kapelani udzielili mi błogosławieństwa. Pokrzepiona na duchu patrzyłam długo za odchodzącymi. Zaczęłam myśleć jak urządzić ten mój lazaret. Na razie ranni leżeli na trawie, a my zaczęliśmy wycinać gałęzie i budować prymitywne szalasy. Wyspa ożyła, zrobiłam selekcję rannych na tak zwaną chirurgię czystą i brudną. Chorzy bez temperatury i zakażenia przyrannego zostali umieszczeni w jednych szalaszach, a pozostali w drugich. Łącznie miałam 5 szalaszów.

tych nieszczęśliwych około 30. Przejrzeliśmy się do pomocy sanitarna-
 nie z oddziału - Kofyła - Szynkiewicza - Wójciszki, podchorążego
 - Krdzińskiego - Włodek Szewcowski i kilku żołnierzy do pomocy.
 Następnie uroczyło pogrzebanie. Dowódcą dywizji z całym zastawem i
 kapelanem, ks. Rafal - Antoni Dębowy i ks. Przewalski - Antoni Piot-
 rowski, zapytali mnie czy wiem jaki spoczywa na mnie obowiązek i czy
 czy podobał się i czy wiem, że zostały na pewną dźwiard. Odpowia-
 działem, że wszystko jest w rękach Boga i jeśli mam zginić, to wszystko
 jedno gdzie to nastąpi, to przecież walczyłem i żyłem na nie dźwiard.
 Moje sanitariusz zaproponowały mi, że one zostaną z nami, a ja
 będę z dywizją. Odpowiedziałem im, że bardzo żonię ich poświęcenie
 ale tutaj potrzebna jest im, bardzo im potrzebna jest pomoc pielęgniarska;
 zrozumiałem i widziałem ich. Wówczas dywizja przeprowadziła się
 na rozmowę dając wskazówki w postaci dywizji, pierwsze wytyczne rozpo-
 trzy miał w planie i powiedział, że w tym czasie kontakt z
 ludźmi nie był, aby nie stracił się w tym czasie. Kiedy któryś bóg wie
 coś do zdrowia, nam ich wyprowadził do miejsca gdzie była się znajdo-
 wała dywizja, która na wieżach były mogą być do domu. Trochę też
 o przekazywanie wiadomości o stanie zdrowia rannych, która dobiegła do-
 galezy mogli nawiązać kontakt z dywizją. Przekazałem, że uszytno
 wszystko wedle rozkazu. Tak pogrzebanie dowództwo i kolegow, a kapela-
 ni ustalił mi drogocenne. Później na duchu patrzyłam
 długo na obchodzących. Następnie wyszedł jak urzędził ten odjazd
 na razie ranni leżeli na trawie, a my zaczęliśmy wyznaczać miejsca
 i budować przystępne szaki. Wypełniłyśmy szaki, zrobiliśmy szaki rannych
 na tak wspaniałą drogę i brudną. Kiedy Chory pod temperaturą
 i zakażenia przystannego zaczęli walczyć w jednym miejscu,
 a porzucali w drugiej. Później miałem z szaki.



Wśród tych rannych miałam chorego, był to oficer, nie pamiętam z jakiego oddziału, Jan Matysko. Pseudonimu nie znam. A dlaczego tak dobrze zapamiętałam to nazwisko? Był to przyjaciel mojego brata, razem kończyli studia i odbywali służbę wojskową i w 1939 roku razem byli na wojnie. O tych wszystkich dziejach można pisać tomy. W dalszym wspomnieniu opiszę resztę o Janie Matys^{ce}skim. Gdy moi ranni byli już rozlokowani wtedy powiedziałam, że muszą polecieć do wsi i zorientować się jak wygląda sprawa, a przede wszystkim czy wieś jest czysta, to znaczy czy nie ma tam naszych wrogów, Niemców. Okazało się, że wszystko w porządku, nawiązałam kontakt z kobietą z pierwszej chałupy, która stała blisko lasu i tam postanowiłam zaopatrywać się w podstawową żywność: mleko, chleb, kasza. Z mięsem i tłuszczem było trochę krucho, a o soli marzyć nie było można. Tak pierwsze lody zostały przełamane. Kobieta wraz z całą swoją rodziną bardzo życzliwie ustosunkowała się do mnie i moich podopiecznych. Trzeba było zorganizować jakiś kociołek i wiadro do gotowania oraz noszenia wody. Te wszystkie naczynia otrzymałam od ludzi ze wsi. Musieliśmy przygotować miejsce do gotowania i w tym celu chłopcy wykopali niewielki dołek, oblepili go błotem i darniną, w ziemię wbili krzyżaki z mocniejszymich kołków i na górę założyli poprzeczkę do zawieszania kociołka i tak wyglądała nasza kuchnia polowa. Wodę czerpano ze strumyka, była nawet smaczna, trochę salatywała błotem, ale poprzednio piliśmy takie obrzydliwe błoto, że woda ta wydawała się nam jak gdyby była kryniczna. Zapasy wody do picia zawsze musiałam mieć przygotowane, bo moi chorzy, a szczególnie ci gorączkujący, mieli ogromne pragnienie. Niestety, nic więcej przygotować nie mogłam. Moi ranni byli bardzo kapryśni, wymyślali sobie najrozmaitsze smaczne kąski i picie, a to: wypiliby kherbaty z cytryną, kompot. Marzenia ich były

1111

11/14

Należy tuż przed wyjściem z domu, aby się odprężyć, nie siedząc
 a jakiegoś rodzaju, Jan Kąkol. Wskazaniem nie znam. Wskazaniem
 dobrane uzupełnieniem to nastawienie był to przyjaciel swojego brata, re-
 zam kochany i studiował i odbywał służbę wojskową i w 1939 roku razem
 byli na wzięcia. O tych wszystkich zdarzeniach nie mam bliżej. W dal-
 szym wspomnianiu opisać trzeba o Janie Kąkole. Ony nie znamy byli
 już rozmawiali wtedy powiadaliśmy, że muszą posiadać do wsi i no-
 wotworów się jak wygląda sprawa, przede wszystkim czy widać jest
 czyta, to znaczy czy nie ma tam żadnych rzeczy, wiadomości. Często się
 że wszystko w porządku, nastawiam kontakt i kontakt z gospodarzami
 obawy, które stały bliżej Jan i Jan powiadają, że nie są zainteresowani
 w podawaniu, ponieważ jeżeli chodzi o Jan, to nie ma żadnych wiadomości
 trochę kruczo, a o miłi nie było wiadomości. Wskazaniem było so-
 były przesłane. Wskazaniem było w 1939 roku, ponieważ było to
 wie utraciłyśmy się do niego i widać było, że to było
 przygotowanie, które zostało i widać było, że to było
 dy. To wszystko wszystko wszystko wszystko wszystko wszystko wszystko
 gotowe miejsce do gotowania i w tym celu należy wykonać wszelkie
 dołek, obiekty go błogosławienia i widać było, że to było
 niżej, każde i na górę należy przygotować do wskazania ko-
 ciska i tak wyglądała nasza kuchnia polewa. Widać było, że to
 była, była nawet smaczna, trochę kakałowa, była, nie powiedziano
 bliżej takie porządnie, to widać było, że to było
 by była trzymać. Zapanowały do pola nasza nasza nie było przy-
 gotowania, do miłi chory, a wskazaniem o gotowaniu, miłi chory
 przygotowania. Wskazaniem, nie widać było przygotowania nie widać było
 i bardzo fajnie, wyjechał sobie najprościej, wskazaniem było i
 pole, a for wyjechał, wskazaniem o przygotowaniu, wskazaniem było



nie realne. Bo skąd mogłam dostać herbatę i cukier, a o cytrynach można było tylko pomarzyć. Nie raz było mi bardzo przykro słuchać ich narzekań, bo gdyby byli u mamy, to mama by im wszystko dała. Cóż, zaciskałam zęby i bardzo tym wszystkim przygnębiona, nie raz długo w nocy nie spałam i myślałam jaki jeszcze czas przyjdzie nam tu siedzieć i czy podołam wszystkiemu.

Tak mijały dni, było wokół cicho, tylko nie raz siedziałam samotnie, a wieczór wydawał się nieskończenie długi. Wszędzie ciemności, deszcz padał jakby kto płakał i wtedy szczególnie smutne myśli przychodziły do głowy. Rodzi je szaruga i samotność. A jak zaszumią drzewa wtedy człowiek ucieka myślami do odległych, lepszych czasów. Przywiązałam się do tych starych drzew. Kiedy zaszumią, zawsze wywołują we mnie współczucie, jakby i one tęskniły, gniewały się, protestowały i coś czuły - właśnie czuły i w taki wieczór już mi nie do śmiechu, a przecież takich wieczorów było wiele. Trochę marzeń, a życie każe myśleć co dalej, jak to wszystko się skończy, czy przeżyjemy. Codzienne chodzenie po prowiant przez bagna było bardzo wyczerpujące, musiałam zrywać się o świcie i lecieć do wsi, żeby zastać gospodynię w domu i zabrać przygotowaną żywność. Dlaczego ja - ktoś zapyta. Bo to było najbezpieczniejsze gdyby Niemcy byli we wsi, zawsze na niewiastę będą patrzeć inaczej albo nie zwrócą uwagi. Właściwie kim byłam na tej wyspie? Jak to określić? Byłam wszystkim i do wszystkiego; zastępowałam chorem matkę, lekarza, pielęgniarkę, salową, zaopatrzeniowca, tragarza, kucharkę i praczkę. Miałam pełne ręce roboty; przynieść prowiant, ugotować śniadanie, umyć chorych, nakarmić, potem przygotowanie do opatrunków. Materiału miałam bardzo mało, gaza mi się kończyła, bandażę też były na wykończeniu, a o wacie i ligninie mogłam tylko marzyć. Leki też się kończyły, te

II/11/48

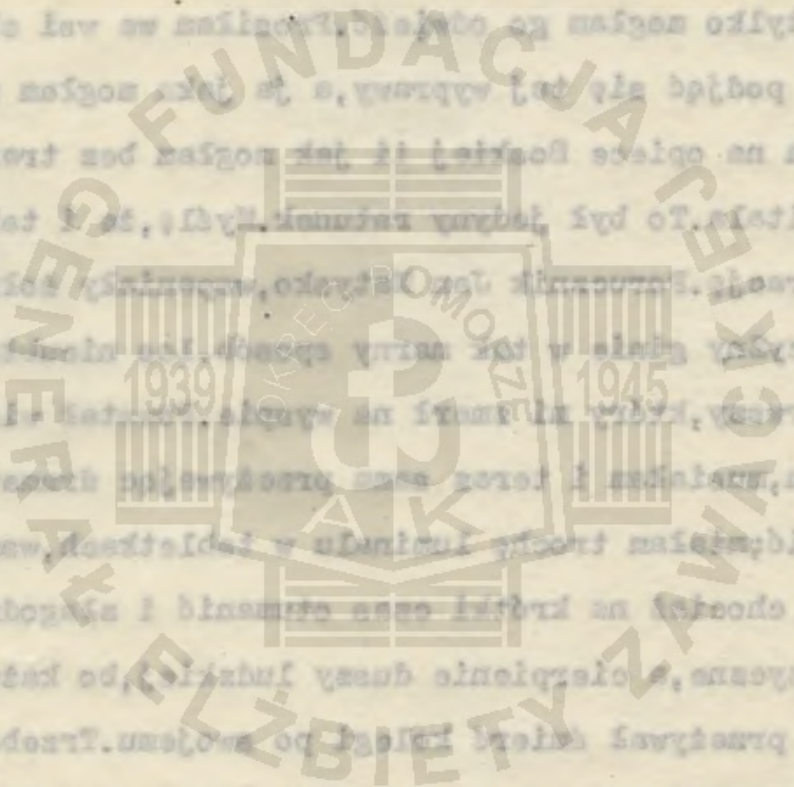
II/11/48

nie realne. Bo egipt mógł dostac barabę i cukier, a o utrzymaniu
 można było tylko pomarzyć. Nie raz było mi bardzo przykro słuchać
 ich narzekan, bo gdyby byli u mamy, to sama by im wszystko dała. Gdy
 rozdziałem się z barabą tym wszystkim przygnębiona, nie raz długo
 w nocy nie spałam i myślałam jak i jeszcze czas przyjdzie nam tu
 spędzić i czy podobnie wszystkim.

Tak mijały dni, było wzdychanie, tylko nie raz się odświeżałam sa-
 motnie, a wieczór wychodziłam się spacerować. Wszędzie ciemno-
 ścią, czasem padał jakby kłopot i wtedy szczególnie samotnie wydawał
 przychodziły do głowy. Kiedy ja zaczęłam i samotność. A jak zaczęłam
 drzewa wtedy całkiem ucieszyłam się do odległych, leśnych szczytów.
 Przychodziłam do tych szczytów drzew. Kiedy zaczęłam, zawsze wywo-
 łałam we mnie wspomnienia, jakby i one tęskniły, jakby nie, prote-
 stowały i coś czuły - właśnie czuły i w tym wieczorze też mi nie do-
 łaćchu, a przecież takich wieczorów było wiele. Trochę czasu, a gdy-
 ła kasa wyszła do dala, tak to wszystko stało się, czy przeżyje-
 my. Godziłam się z tym, że nie będę miała czasu na to, żeby wysze-
 puścić, znalazłam przyrodę, a nie wiedziałam, że to było ostatnie
 gospodarstwo w domu i zapadł przygotowanie. Uważałam ja - kiedy
 zapyta. Bo to było najdłuższe, a gdyby Niemcy byli we wsi, kaw-
 aca na niewiele byłaby potrzebna, albo nie zwrócił uwagi. Wła-
 ciwie kim byłam na tej wsi, jak to określić? Byłam wszystkim
 i do wszystkiego: zastępowalam chorą matkę, lekarza, pielęgniarkę,
 siostrę, zastępowalam, tragarza, kucharkę i praczkę. Miałam pełną
 pracę roboty; przychodził przeważnie, przygotowywałam, umyć chorą,
 nakarmić, potem przygotowanie do opatrunków. Materiału miałam bar-
 dzo mało, czasem mi się kochyła, bardzo też było na wychowanie, a
 o woda i ligninie mogłam tylko marzyć. Laki też nie kochyły, bo

najważniejsze, które służyły jako antybiotyki. Miałam trochę streptocidu, prontosil, gonilał resztkami, jak dalej pracować, co robić? Stan chorych pogarsza się. Pacjent porucznik Jan Matysko nie był ranny, przyprowadzono go do mnie na wyspę z bólami brzucha, początkowo myślałam, że to zwykła niestrawność, ale kiedy stan zaczął pogarszać się, zrozumiałam, że to może być ostry wyrostek. Brzuch coraz bardziej napięty i bolesny, zaczyna się perytonit /zapalenie otrzewnej/. Chory błaga żeby go ratować. Cóż mogłam zrobić? Do Brzeźcia daleko i tam tylko mogłam go odwiedzić. Prosiłam we wsi chłopów, nikt nie chciał podjąć się tej wyprawy, a ja jaka mogłam zostawić wszystkich rannych na opiece Boskiej i jak mogłam bez transportu odstawić go do szpitala. To był jedyny ratunek. Myślę, że i tak byłoby za późno na operację. Porucznik Jan Matysko, wspaniały żołnierz, oficer, obrońca Ojczyzny ginie w tak marny sposób. Los nieubłagany zabrał go, był to pierwszy, który mi zmarł na wyspie. Powstał wielki popłoch wśród rannych, musiałam i teraz sama przeżywając dramat, pocieszać rannych, uspokoić; miałam trochę luminalu w tabletkach, wszystkim zaaplikowałam, by chociaż na krótki czas otumanić i złagodzić cierpienie, już nie fizyczne, a cierpienie duszy ludzkiej, bo każdy z nas na swój sposób przeżywał śmierć kolegi po swojemu. Trzeba było pogrzebać - jak? No, cóż, wykopano grób na naszej wyspie i bez trumny, tylko w mundurze oficera polskiego, pochowano ze wszelkimi honorami, tak jak chowa się żołnierzy. Muszę się z przykrością przyznać, że w czasie ceremonii pogrzebu porucznika Jana Matyski nie byłam. Po prostu to było ponad moje siły. Stan psychiczny i nerwy u najsilniejszych wyśiadają, tak też było ze mną. Uciekłam daleko w chaszczę i tam usiadłam nad strumieniem, a myśli czarne jak najokropniejsze chmury roiły się w mojej głowie. Gorzkie, ciężkie łzy niepowstrzymane spły-

najwłaściwie, które miały jako antybiotyki. Miałam trochę straszyć
 cię, przystąpił, zentuzjastycznie, jak dajesz, pracowałem, co robić? Stan
 chorób powstawał się. Pacjent porównał ten stan nie był znowu.
 przygotowania go do mnie na wybieg z dala, brucha, powstawało wy-
 stąpiło, że to wykazało niestrawność, ale kiedy stan zaczął poprawiać
 się, zrozumiałem, że to może być ostatni wyrostek. Wzrost coraz bardziej
 napięty i bolesny, zaczęła się perystaltyka. Wzrost zaczął
 Chory biegał żeby go zatrzymać. Coś mogłem zrobić? Do Brzeska dala
 i tam tylko mogłem go zatrzymać. Wzrost w ten sposób, nikt nie
 chciał podjąć się tej sprawy, a ja jako lekarz zostałem wysłany
 rannych na odcinek. Wzrost i ja mogłem bez transportu odwieźć go
 do szpitala. To był jedyny raz. Wzrost, że i tak byłoby za późno
 na operację. Wzrost i ja, w tym czasie, w tym czasie, w tym czasie, w tym czasie,
 co było w tym czasie, w tym czasie, w tym czasie, w tym czasie, w tym czasie,
 to pierwszy, który miał na względzie. Wzrost i ja, w tym czasie, w tym czasie,
 rannych, w tym czasie, w tym czasie, w tym czasie, w tym czasie, w tym czasie,
 uspokoiłem trochę. Wzrost i ja, w tym czasie, w tym czasie, w tym czasie,
 jak, by chociaż na krótki czas odwrócić i się poddać cierpieniu, jak
 nie było, a cierpienie było, jak było, do końca z nas na swój
 sposób przetrwał. Wzrost i ja, w tym czasie, w tym czasie, w tym czasie,
 - jak? No, co, wykopano grób na naszej wybieg i bez trumny, tylko w
 mundurze oficera polskiego, pochowano ze wszelkimi honorami, tak jak
 chowa się żołnierzy. Muszę się a przygotować przynajmniej w czasie
 ceremonii pogrzebu porucznika Jana Natycki nie było. Po prostu to
 było ponad moje siły. Stan psychiczny i nerwy u najwłaściwiejzych wy-
 stąpiło, tak też było ze mną. Uciekłem daleko w chacie i tam wia-
 dym nad strumieniem, a byłam czarna jak najczerniej. Wzrost
 roził się w mojej głowie. Gorzkie, cierpkie i niepowstrzymane spły-



wały po policzkach i wpadały do strumienia. Łzy sprawiły mi ulgę, patrzyłam w bezkresną dal i myślałam jak to będzie dalej, jak podobiałam temu wszystkiemu. Czy wytrwam? Aż z tych ponurych myśli otrząsnął mnie ogromny huk; były to salwy honorowe, karabinowe na cześć kolegi, który odszedł od nas na zawsze. Na usypanej mogile u wężłowa postawiono krzyż brzozowy, a na nim zawieszono czapkę oficerską i na małej deszczulce wyciętej z tej samej brzozy wypisano imię i nazwisko oraz datę śmierci. To było wszystko co mogliśmy uczynić, aby po nim została pamięć. Czy na długo? W naszych sercach - tak. Zawsze w dniu święta zmarłych, kiedy jestem na cmentarzu, stawiam świeczki za tych, którym nikt nie zapalił płomienia żywota.

Życie toczyło się dalej, trzeba było myśleć o żywych, codzienna praca i wysiłek myślowy jak postępować, aby moim rannym ulżyć nie dawały mi spokoju. Całe szczęście, że pogoda dopisywała, słońce świeciło w swojej całej krasie, tworząc barwny krajobraz na tych bezkresnych bagnach. Obserwowałam wschody i zachody, piękne brzaski dnia, przebijające promienie słońca w przepaścistej zgle oparów. To piękno okolicy każdego dnia zmieniało swoją postać. Tak płynęły dni jak paciorki różańca, podobne, a jednak każdy był inny od poprzedniego. Całe szczęście że okolica była spokojna, na razie nic nam nie zagrażało od wroga, ale wkraść się inny niepokój, walka o życie moich chłopców. Miałam znów dwóch w bardzo ciężkim stanie. Jeden z nich, Michałko. Nie wiem czy było to jego nazwisko, czy pseudonim, właśnie on sprawił mi nowe zmartwienie. Miał przestrzelone kolano, cały staw kolanowy rozniosło, rany ziejące i ropiejące nie dawały mi spokoju, temperatura dochodziła do 40 stopni. Antybiotyki skończyły się i nie wiedziałam co począć, bo w apteczce pozostał tylko rywanol w tabletkach. Rozcieńczałam go w roztworze 1:1000 i z tego płynu robiłam okłady, trochę dezynfekcji i sprawiało to

12/11

11/152

Ważny po policzaniu i wpedy do strumienia. Czy uprawiali mi w tym
 potrzysiam w bezkarnym dal i wydajam jak to bydzia dafaj, jak podo-
 lam temu wazystkiemu. Czy wytrwam? Aż z tych ponurzych wydzi otruz-
 endz mnie ogromny huk; były to salwy honorowe, karabincowe na czes-
 kolegi, który obzedł od nas na rawe. Na wypanej mogile u wazgo-
 wie postawione krzyż przerosły, a na nim zawieszono czapkę oficer-
 ą i na kafej bezczelnie wydzętej a tej samej przetrzyni wydziano
 imię i nazwisko oraz datę śmierci. To było wszystko co mogliśmy
 uosynić, aby po nim została pamięć. Czy na długo? W naszych sercach
 - tak. Zawsze w dniu święta zamaryzaj, kiedy jestem na cmentarzu, że-
 wiam świętce z tych, którzy nikt nie zapisał imienia żywcem.
 życie też było nie dale, trzeba było tylko przeloczyć i żyć, coż tam
 praca i wydzik myśliwy jak postarod, się nalażemy nigdy nie
 dawaly mi spokoju. Cofajcie myśli, że pogoda dopisuje, aśdco wie-
 cilo w swojej całej krasie, tworząc barwy i kształty na tym bez-
 kresnych beznach. Obserwowałam wazdy i niechodzący, jakby przeszli
 dnia, przewidyjając przesilenie znowa w przepadającej, aże opadw. To
 pikno okolicy każdego dnia zmienialo swój kształt. Tak przyniły dni
 jak pastorki różdżek, jednak podobne, a jednak każdy był inny od
 poprzedniego. Cofajcie się z okolic była spokojna, na razie nie
 nam nie wystręfo od wroga, ale wkradł się inny niepokój, wazka o
 życie moich chłopców. Miałam andw dwóch w bardzo ciężkim stanie.
 Jeden z nich, Michaiko. Nie wiem czy było to jego nazwisko, czy pas-
 udoina, wiadnie on sprawił mi nowe smutnienie. Miał przetrzalone
 kolano, cały staw kolany rozniecało, rany sięjące i rozdzierające nie
 dawaly mi spokoju, temperatura dochodziła do 40 stopni. Antybiotyk
 zchożny się i nie wiedziałam co poradzić, bo w apteczce pozostał
 tylko tytanol w tabletkach. Rozważałam go w rozwarze 1:1000
 i z tego piynu robiłam okłady, trochę dezynfekują i sprzewalało to

12/11 4374 WSK 01 2 11/11

ulgę choremu. Niestety, śmierć-kostucha znów zakradła się do obozu. Michałkowi przyrzuciła się zgorzeź gazowa. Wiedziałam, że nie ma ratunku, kolano obrzęknięte, cała noga spuchnięta, zaogniona, przy dotyku ałychać było tylko trzaski, tak charakterystyczne dla zgorzeli gazowej. Zgorzeź rozprzestrzeniała się w zawrotnym tempie. Jeśli mogło go coś uratować, to tylko wysoka amputacja nogi i leki których nie miałam, a przede wszystkim surowica przeciw zgorzeli. Uniera Michałko w strasznych męczarniach, słowami bardzo tkliwymi woła -mamo, mamo-, a potem ostatni okrzyk -Niech żyje Polska-, skonał. Znąw nowy pogrzeb. Chowany go obok porucznika Matyski. Urósł drugi kopiec ~~Rudziński~~ w podobny sposób oddaliśmy mu hołd jak porucznikowi Matysce. Miałam wielką obawę, że reszcie moich rannych może przyrzucić się zgorzeź, ale jakoś odeszło się bez tragedii. Życie na wyspie toczy się dalej bez zmian. Codzienne obowiązki ponad siły i strach czy nas nie odkryją Niemcy. Musiałam zmieniać opatrunki bardzo często, rany ropiejące oczyszczałam, potem wystawiałam zranione miejsce na słońce, teraz to dobroczynne słońce było moim ratunkiem i zarazem lekiem. Rany bardzo ładnie obsychały. Miałam trochę maści cynkowej to też wokół rany nakładałam ją, a bezpośrednio na ranę gazik z rywanolem, zamiast waty czy ligniny kładłam pakuły ze lnu i konopi. Bandaże i gaziki prałam w strumieniu i gotowałam, by zabić bakterie i wszy. Czas płynął w ciągłym napięciu nerwowym. Drugi pacjent w stanie ciężkim był z kompanii warszawskiej, pochodził z Radomia i miał pseudonim -Wołodjowski-. Tyle wiedziałam o nim. Jego rany pochodziły od odłamków pocisku artyleryjskiego, całe ciało było podziurawione niemal jak sito, rany niewielkie, ale głębokie. Kiedy zakładałam sondę wchodziła jak w masło, tak głęboko uwięzły odłamki. Początkowo myślałam, że wszystko będzie w porządku, a pokałeczenie jest powierzchowne, tym-

czasem okazało się, że to jest bardzo groźne. Zaczął gorączkować i nastąpiło ogólne zakażenie /sepsis/. Mimo środków jakimi dysponowałam temperatura nie ustępowała, zaczął majaczyć i w malignie zmarł.

Był to ostatni ranny, którego śmierć zabrała na tej wyspie. Powtórzyła się smutna uroczystość, urosła trzecia mogiła i nad nią rozległy się salwy honorowe, które zdradziły naszą obecność na wyspie bo w tym czasie Niemcy byli we wsi. Prawdopodobnie usłyszeli te strzały, bo pytali ludzi we wsi, czy tutaj są partyzanci. Mieszkańcy wsi odpowiedzieli, że okolica jest spokojna i nikogo podejrzanego nie spotkali. Niemcy nie ufali słowom wieśniaków i powiedzieli, że muszą przeczesać lasy. Kiedy następnego dnia poszłam po prowiant do swojej gosposi, a ona jak mnie zobaczyła, to pierwsze jej słowa były: -Uciekajcie stąd, bo Niemcy coś podejrzewają i knują wyprawę na wyspę-. Jak to usłyszałam już mi nie było wesoło, nie myślałam o prowiancie ani o gotowaniu śniadania i innych czynnościach, które miałam w codziennym planie. Pytam kobiety, jak mamy uciekać, przecież ona wie doskonale, że ranni nie mogą chodzić, muszą mieć jakiś transport, bo inaczej Niemcy zagarną nas jak kaczki.

Widocznie żal jej się zrobiło moich żołnierzy i mnie bo powiedziała, że znajdzie chętnych i ci nas przewiozą na inne miejsce postoju, ale to będzie kosztowało. Poprosiłam ją o skontaktowanie z przewodnikiem, który nas wyprowadzi z niebezpiecznego miejsca. Chętnie to uczyniła i zaprowadziła mnie do jednego z wieśniaków. W jego oczach widziałam chęć zysku i na tym bazowałam. Zaczął się dosłownie targ i po ostatecznym uzgodnieniu sumy za przewóz postawiłam jeden warunek, by o północy przyjechały furmanki i zabrały nas. Dałam mu zadatek 10 dolarów w dowód, że traktuję sprawę poważnie, a resztę sumy, 40 dolarów, otrzyma po przewiezieniu rannych na nowe miejsce postoju. Wróciłam do swoich. Jak mnie zobaczyli zaczęli py-

czasem okazuje się, że to jest bardzo groźne. Zasadą gospodarstwa i
 nastąpiło ogólne zakażenie /zapalenie /krochów /jakimi dysponowa-
 łem temperatura nie ulegała, zasadą mającym i w malinach zamie-
 Był to ostatni raz, którego lekarz zabrakł na tej wyprawie. Powró-
 tyż się zupełnie urozeczyścił, urosła trzcina mogła i nad nią roz-
 legły się cały honorowe, które zdobyliśmy naszą obecność na wyprawie,
 do w tym czasie Niemcy byli we wsi. Przewodniczącym wyjeżdżali tam
 strzeży, do pytań ludzi we wsi, czy tutaj są partyzanci. Wieszkał
 wsi odpowiedział, że oboje tam nie było i nikogo podejrzano
 nie spotkali. Niemcy nie ufali słowom wieśniaków i powiedzieli, że
 muszą przeszedł tam. Kiedy następnego dnia poszliśmy po prowiant
 do swojej gospody, a ona jak mnie zobaczyła, że pierwsze jej słowa
 były: -Uciekajcie stąd, bo Niemcy was podejrzewają i knują wyprawy
 na wyprawę. Tak to wyglądało, jak mi było wesoło, nie myślałem o
 prowiantu ani o gotowaniu. Wiedziałem, że ludzie są zmęczeni, które
 miałem w codziennym planie. W tym czasie, jak nam udało, przesiadł
 ona wie doznała, że tamni nie mogli chodzić, musieli mieć jakiś tran-
 sport, do innej wioski Niemcy wzięli nas jak kaczki.
 Wiedząc, że tam się zrobiła nocka koinary i mnie do powie-
 dziano, że sądzicie chętnym i ci nas przewiezł na inne miejsce po-
 stoju, ale to będzie kosztowało. Poproszłem go o skontaktowanie z
 przewodnikiem, który nas wyprowadzi z niebezpiecznego miejsca. Chy-
 nie to uczyniła i zaprowadziła mnie do jednego z wieśniaków. W jego
 oczach widziałem chęć zysku i na tym bazowałem. Zasadą się doświ-
 nie targ i po ostatecznym uzgodnieniu umowy przewoźca postawił
 jeden warunek, by o godzinę przyszedł tłumacz i zabrali nas. Na-
 sam mu zadatek 10 dolarów w gotówce, że traktuje sprawę poważnie,
 resztę umowy, 40 dolarów, otrzymał po przewiezieniu tłumacza na nowe
 miejsce postoju. Wiedziałem, że swoich nie zabiją, jeśli się

tać co się stało,dlaczego tak późno przychodzę,że są głodni.Och! ,
jak mi było ciężko.Wreszcie wyksztusiałam co się stało i że dzie-
siejsza noc zadecyduje o naszym życiu,a natychmiast ochłonęli.
Najrozsądniej zachował się por.-Lech- i powiedział,że bardzo dob-
rze załatwiłam sprawę i teraz mam nie myśleć o gotowaniu jedzenia
lecz o likwidacji obozu.

Ogarnął mnie niepokój,czy aby Niemcy nie wpadną jeszcze tego
samego dnia i nie zrobią z nas masakry.Ciągłe nasłuchiwanie i wy-
patrywanie ogromnie ludzi nuży.Goniłam resztkami sił,a do tego do-
szła niepewność,czy przewodnik przyjedzie i to nie dawało nam spo-
koju.

Dzień chylił się ku zachodowi,wokół cisza,tylko mgły zaczęły
opadać i las zrobił się błękitno-szary,bardzo piękny o tej porze.
Przez mgły i konary drzew przebijały się ostatnie promienie słońca
i powoli zupełnie zagasły.Nadszedł zmierzch;słychać było śpiew
ptaków powracających z dziennych wędrówek i rechot żab w poblis-
kich bagnach,potem powoli wszystko ucichło,nastała noc.

Nasze ogromne zdenerwowanie i oczekiwanie na przyjazd wybaw-
cieli wzrosło.Noc i ciemność były naszymi sprzymierzeńcami.Po pew-
nym czasie usłyszeliśmy turkot furmanek i stąpanie koni,wiedzieli-
śmy - dotrzymują obietnicy.Wstąpiła w nas otucha,że będziemy ura-
towani.Zaczęto rannych ładować na wozy,trudno to było nazwać trans-
portem rannych,poukładani jak śledzie w beczce,ciastota,a oprócz
tego dochodziły bagaże i broń.Zdrowi szli pieszo i stanowili naszą
osłonę.Pożegnaliśmy wyspę z ciężkim sercem,pozostawiając na niej
trzy świeżo usypane mogiły;bieliły się na nich białe,brzozowe
krzyże.Tak pozostali ci co spali smem długim - wiecznym.Tamtym
wróg nic nie mógł już zrobić.

...tak co się stało, dlatego tak późno przyjechał, że się głodni. Głód,
 jak mi było ciężko. Wreszcie wykastrowałam co się stało i im dała
 siężasa noc spędzić z naszymi siostrami, a natychmiast opuściła.
 Najbardziej zachował się porządek - i powiedział, że bardzo dob-
 rze zafatwiał sprawę i teraz nam nie będzie o gotowaniu jedzenia
 iac o likwidacji obywateli.

...Głównym mi niepokojem, czy aby Niemcy nie wpadną jeszcze tego
 samego dnia i nie zrobią z nas masę. Ciężko nam było i wy-
 patrywania ogromnie trudny. Jednym zaskakującym było, że do tego do-
 szła niepewność, czy przesłannik przyszedł i to nie dawno nam spo-
 koju.

...Dziś chcieliśmy się ku zachodowi, wzdłuż rzeki, tylko wtedy zaszyły
 opadła i nie udało się. Wskazywano nam, że trzeba pójść o tej porze.
 Przez rzekę i koczowały przez przelazły się ostatnie przesłannik
 i powoli ruszaliśmy w drogę. Niebawem zaczęły padać śniegi i było ciężko
 pójść przez góry z naszymi zwierzętami i kochać się w podzie-
 kach białych, potem powoli weszliśmy do lasu, zostając noc.

...Nasze ogromne zniecierpliwienie i odczucie na przyjazd wywi-
 ełki wroździł. Noc i ciemność były naszymi sprzymierzeńcami. Po pew-
 nym czasie usłyszałyśmy huk karabinów i strzały koni, wiedzieli-
 śmy - dotrzymują obietnicy. Wstąpiła w nas stracha, że będziemy un-
 towni. Często koczowałyśmy w dołach na wozach, trudno to było nazwać tran-
 sportem koczowniczym, ponieważ jak śnieżyła w dołach, ciemność, a ogólnie
 tego dochodziły bagna i bród. Światło zali płaszczy i stanowiąc naszą
 oświecenie. Potem nagle wyczułyśmy z ciężkim sercem, pozostawiając nas nie,

...trzy dni w tym samym miejscu; dzielili się na nich blask, przewo-
 żyły. Tak pozostał ci co spalił nasz dwójka - wiecie. Tamty
 wrócić nie mógł już wrócić.

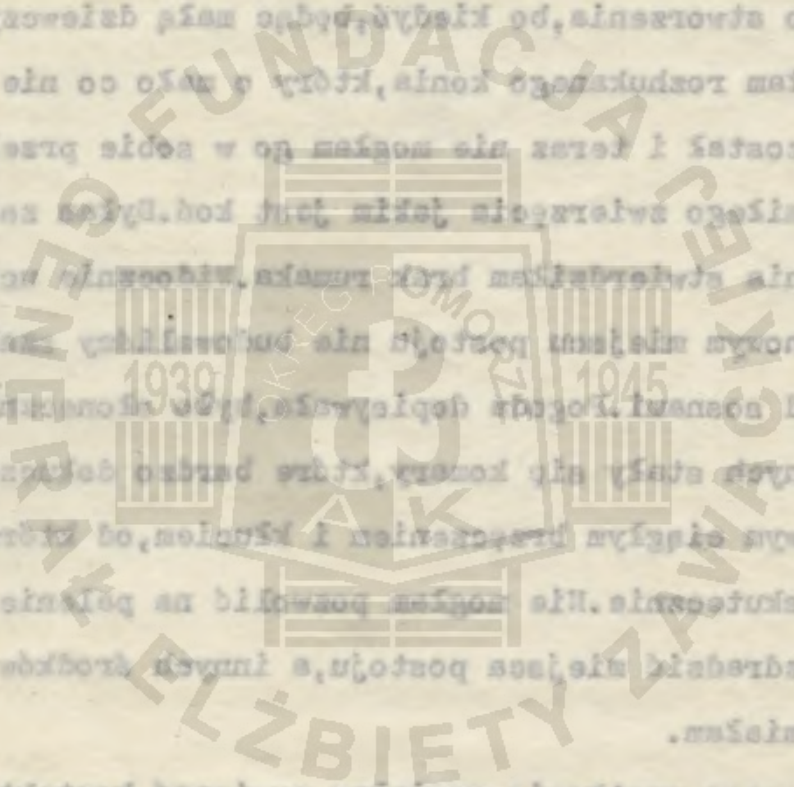
O świcie znaleźliśmy się na podobnej wyspie. Przewoźnicy pomogli znieść rannych, a ja kazałam ich poukładać na trawie, pod drzewami. Pozostawili nam jeden wóz i konia, by w razie jakiegoś niebezpieczeństwa łatwiej nam było uciekać. Byłam mile zdziwiona tym gestem i trochę protestowałam, lecz przewodnik był innego zdania i powiedział, że lepiej będzie jak wóz i koń zostanie tu, niż mają go zabrać Niemcy i bez pożytku zniszczyć. Wóz się przydał i wykorzystałam go dla rannych, ale koń był moją zmorem, gdyż od dzieciństwa bałam się tego stworzenia, bo kiedyś, będąc małą dziewczynką bardzo się nastraszyłam rozhukanego konia, który o mało co nie wpadł na mnie. Ten uraz pozostał i teraz nie mogłam go w sobie przełamać, zbliżyć się do tak miłego zwierzęcia jakim jest koń. Byłam zadowolona gdy któregoś dnia stwierdziłam brak rumaka. Widocznie uciekł do gospodarza.

Na nowym miejscu postoju nie budowaliśmy szałasów i chorzy leżeli pod sosnami. Pogoda dopisywała, było słonecznie i ciepło. Plagą dla rannych stały się komary, które bardzo dokuczały leżącym, a zwłaszcza swym ciągłym brzęczeniem i kłuciem, od którego nie mogli się bronić skutecznie. Nie mogłam pozwolić na palenie większych ognisk, by nie zdradzić miejsca postoju, a innych środków do walki z tą plagą nie miałam.

Z nowego pustkowiecia musiałam nawiązać kontakt z ludnością z pobliskiej wsi, by zaopatrywać rannych w konieczną żywność. Wioska ta nazywała się Antonowo. Bardzo szybko udało mi się zaprzyjaźnić z jedną mieszkanką tej wioski, której dom stał na skraju lasu. U niej otrzymywałam najkonieczniejszy prowiant, po który, podobnie jak z dawnego miejsca, codziennie chodziłam rano. Przyrządzanie posiłków nadal musiało się odbywać w prymitywnych warunkach, gdyż sama znana miejsca nie mogła spowodować polepszenia sytuacji. W dalszym

O wiele bardziej się na podobnej wyście. Przewodnik pomoc-
 -li znaleźć możemy, a je kaszlem ich powiadom na trasie, pod przewo-
 -mi. Poszukiwaliśmy nam jeden wód i konia, by w razie jakiegokolwiek niebezpie-
 -czeństwa łatwiej nam było uciekać. Tymczasem nie zdaliśmy tym gestem
 -i trochę protestowaliśmy, lecz przewodnik był innego zdania i powie-
 -daliśmy, że lepiej będzie jak wód i konia zostanie tu, niż mają go zab-
 -rod Niemcy i bez potrzeby zniszczą. Wód się przydał i wykorzystaliśmy
 -go dla koni, ale koni był mój, gdyż od dziesięciu lat
 -nie się tego stworzenia, bo kiedyś, będąc małą dziewczynką bardzo się na-
 -straszaliśmy rozszukanego konia, który o mało co nie wpadł na niego. Ten
 -uraz pozostawił i teraz nie możemy go w sobie przetrwać, zbliznę się
 -do tej miary zwierzęcia jakim jest koni. Tymczasem zdawało się, że
 -tego dnia stwierdziliśmy, że konia, widząc, że nie chce go zobaczyć
 -na nowy mający postać nie budzący nadziei i chęci je-
 -żeli pod osłonami, gdzie depozyt, jego złośliwość i ciępliwość. Waga
 -dla koni stały się koni, które bardzo łatwo się łapczy, a więc
 -asce były naszymi przeszkodami i kłopotami, od którego nie mogli się
 -próba skrócić. Nie mogliśmy pozwolić na polanie większych ognisk,
 -by nie zabrać miejsca postojów, a innych środków do walki z te dla
 -za nie miałam.

3 nowego postawia musieliśmy nawiązać kontakt z ludnością z po-
 -bliki, w której byśmy mogli być w koni. Wiosna to
 -naszła się Antonow. Bardzo szybko udało mi się zaprzyjaźnić z
 -jedną mieszkanką tej wioski, której dom stał na skraju lasu. U niej
 -otrzymaliśmy najkonieczniejsze prowianty, po których, podobnie jak z
 -dawnego miejsca, codziennie chodziliśmy tam. Przystąpienie postępków
 -nadal musieliśmy się odbywać w przykrych warunkach, gdyż nasz znis-
 -na miejsce nie mogło spowodować poprawienia sytuacji. W dalszym



ciągu byliśmy otoczeni przez wrogów, w każdej chwili mogli wpaść na nasz ślad i zniszczyć nas.

Czas mijał szybko, był już czerwiec. Oderwani od oddziałów straciliśmy z nimi kontakt i nic nie wiedzieliśmy gdzie się znajdują. Byliśmy osamotnieni wśród głuszy leśnej. Cieszyłam się, że moi podopieczni czują się coraz lepiej; rany goiły się, powoli wracali do zdrowia.

Pamiętam dobrze, była niedziela, nastrój świąteczny i moi chłopcy w dobrych humorach. Po śniadaniu zaczęła się dyskusja. Naturalnie temat niewyczerpany, w którym przebijała ciekawość - gdzie obecnie są nasi, czy się z nimi spotkamy i jak się to wszystko skończy. Długo zastanawiano się nad sytuacją i większość zdecydowała o konieczności zebrania aktualnych informacji. Aby jednak zasięgnąć języka o tym co się dzieje na froncie, trzeba było udać się nie bliżej jak do Brześcia. Pytanie - kto pójdzie? Naturalnie, że i teraz ja miałam być tym zwiadowcą, bo żołnierze zdrowi, którzy byli przydzieleni do pomocy rannym, już dawno nas opuścili. Przed odejściem wszystko omówiłam, a przede wszystkim jak mają się zachować ranni gdyby zaszło coś nieoczekiwanego. W umówionym miejscu mieli mi pozostawić - gryps - i w nim konieczną informację - gdzie ich mam szukać po powrocie. Najpierw wybrałam się do swojej przyjaciółki, gosposi i powiedziałam jej o swoim zamiarze. Gosposia popatrzyła na mnie od stóp do głów i rzekła. - Jak pójdiesz w tych portkach? Zarez cię zaczynają podejrzewać. Musiesz się przebrać -. Dała mi swoją marszczoną spódnicę i bluzkę wyszywaną krzyżykami w różnych kolorach oraz mały tobołek z żywnością na drogę. Tak przebrana za chłopską dziewczynę następnego dnia rano ruszyłam w drogę. Do Brześcia było około 30 kilometrów. Czerwcowy dzień długi, więc tych 60 kilometrów powinnam zrobić w jednym dniu. Tak przynajmniej myślałam i koniecznie chciałam zdobyć

olegu byłym otoczeni przez wrogów, w każdej chwili mogli wpaść na
 nasz ślad i zniszczyć nas.
 Czas mijal szybko, był już zmierzlak. Obserwami od oddziałów strze-
 żliwości z nimi kontakt i nie nie widzieliśmy gdzie się znajdują.
 Byliśmy osamotnieni wśród gęstych lasów. Cięższym się, że moi pod-
 opieczni czują się coraz lepiej; rany goją się, powoli wracali do
 zdrowia.
 Templem dobre, była niedaleka, nastąpiła chwila i moi obcy-
 cy w dobrym humorze. Do najbliższej wioski się dykują. Wstrząsanie
 temat niewygodny, w którym przedstawiła się lekkość - gdzie obecnie
 są nasi, czy się z nimi spotkamy i jak się to wszystko skończy. Dla-
 go zastanawiano się nad sytuacją i wkrótce zdecydowano o konse-
 kweniach. Wstrząsanie informacja, że nasi są w pobliżu jak
 o tym co się dzieje na froncie, trzeba było uważać się nie bliżej jak
 do Brześcia Litewskiego - kto podejrzeł, że i teraz ja miałem
 być tym świadkiem, do którego szedłem, żeby być przydatnym do
 pomocy rannym, już dawno nie opuścił. Przed oddziałem wszystkie odd-
 wiam, a przede wszystkim ja, mają się zachować równi, gdyż nasze
 codziennoscie. W udzieleniu miejsca mieli mi pozostać - grup-
 i w nim konieczną informację - gdzie ich nam szukać po powrocie.
 Najpierw wybrałem się do swojej przystanku, gospodarz i powiadomił
 tej o swoim zamiarze. Gospodarz popatrzył na mnie od strony do góry i
 rzekł. - Jak podejrzewasz? Teraz się zaczął podejrze-
 wać. Musiał się przedstawić. Dawa mi swoją marszową szablę i in-
 sę wyszywaną krzyżkami w różnych kolorach oraz mały tobołek z ży-
 wnością na drogę. Tak przebrana za chłopaka dalekimi następnego
 dnia rano ruszyłem w drogę. Do Brześcia było około 30 kilometrów.
 Giercowy dał mi szablę, więc tych 60 kilometrów przebiegłem zbrodli-
 wym dniem. Tak przyznajmniej wyjechałem i konsekwencje chciałem zdobyć

L. 2. 4374 WSK OK 2 7x11

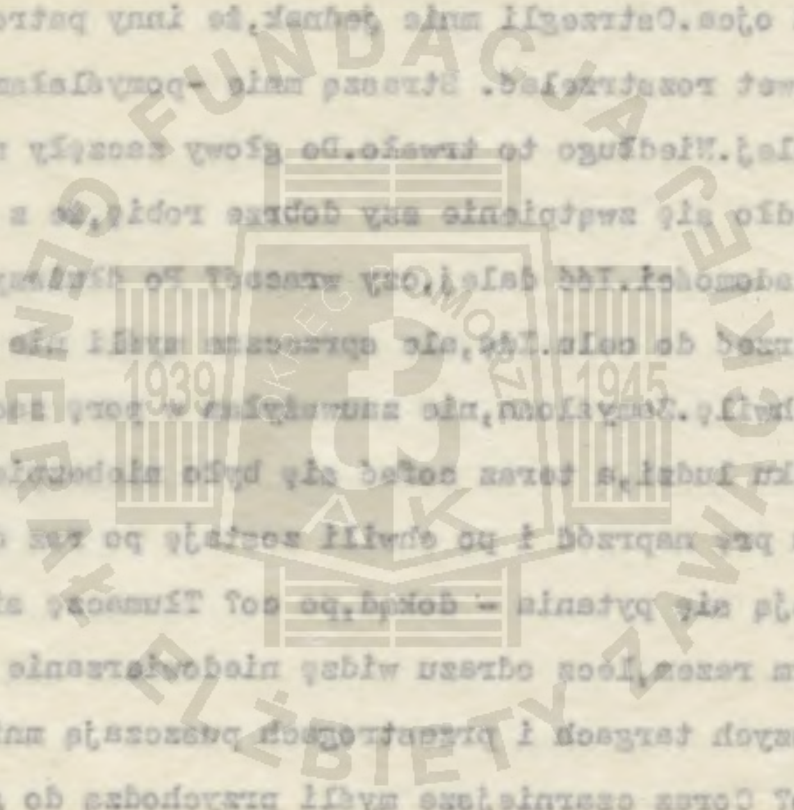
jakieś konkretne wiadomości, aby moim podopiecznym zapewnić spokój do czasu wyzdrowienia. Obmyślałam sobie bajeczkę o chorym ojcu leżącym w szpitalu w Brześciu i nią miałam zamiar tłumaczyć się w razie zatrzymania przez jakieś patrole. Zdawało mi się, że ta bajeczka wystarczy na wyjaśnienie mego marszu. Byłam naiwna.

Szłam rażno, lecz nie uszłam więcej jak 5 kilometrów, a już zatrzymał mnie patrol partyzantki radzieckiej. Zażądali dokumentów. Nie miałam żadnych, ale uwierzyli mi i puścili wolno do chorego w szpitalu ojca. Ostrzegli mnie jednak, że inny patrol może mnie zatrzymać, a nawet rozstrzelać. Straszą mnie - pomyślałam sobie i wytrwale szłam dalej. Niedługo to trwało. Do głowy zaczęły napływać różne myśli, zakradło się zwątpienie czy dobrze robię, że z uporem idę po niepewne wiadomości. Iść dalej, czy wracać? Po dłuższym namyśle postanawiam dotrzeć do celu. Idę, ale sprzeczne myśli nie opuszczają mnie ani na chwilę. Zamyślona, nie zauważyłam w porę zaczajonych na skraju lasu kilku ludzi, a teraz cofać się było niebezpiecznie. Z duszą na ramieniu prę naprzód i po chwili zostaję po raz drugi zatrzymana. Powtarzają się pytania - dokąd, po co? Tłumaczę się podobnie jak za pierwszym razem, lecz odrazu widzę niedowierzanie w moją bajeczkę. Po dłuższych targach i przestrozach puszczają mnie. Udało się. Czy na długo? Coraz czarniejsze myśli przychodzą do głowy, zaczyna działać strach, ale jeszcze nie rezygnuję z zamiaru dotarcia do celu.

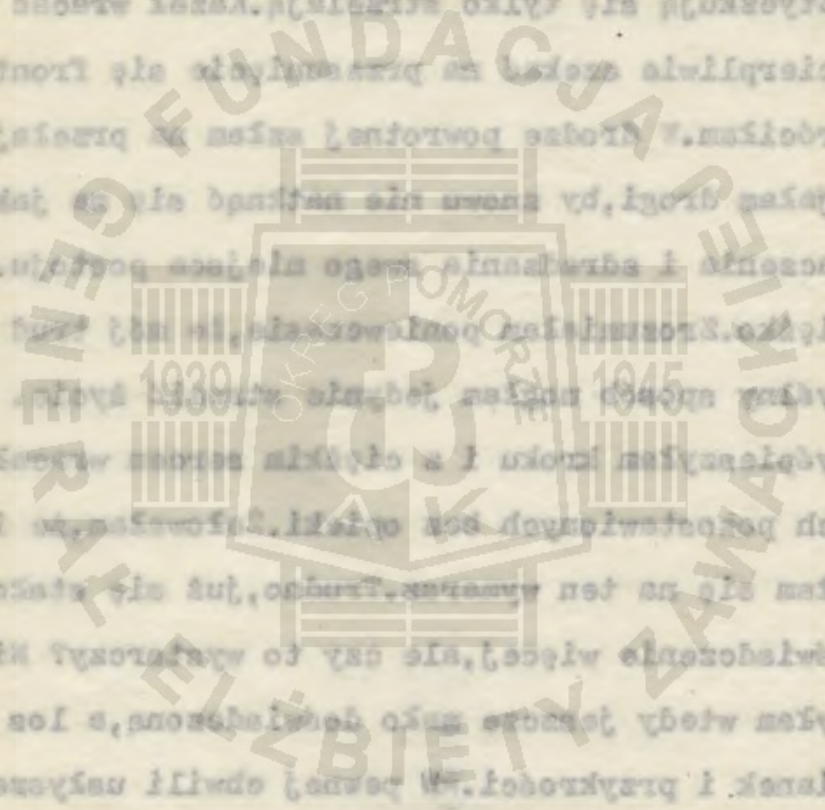
Posuwam się naprzód z większą uwagą, w ciągłym napięciu, by nie dać się zaskoczyć, móc w porę uciekać. Nie na wiele się to zdało, bo nie zrobiłam więcej jak dwa kilometry, a już mnie zatrzymano po raz trzeci. Tym razem nie uwierzono w bajeczkę i niewiele brakowało, by mnie wzięto za szpiega i rozstrzelano. Była to również patrol partyzantki radzieckiej i jej dowódca po przyjrzeniu się moim rękom

Jakieś konkretne wiadomości, aby móc podjąć...
 do czasu wyzdrowienia. Chybaż mam sobie...
 oym w szpitalu w Brzesku i nigdzie...
 zatrzymanie przez jakieś patrolo...
 atarzy na wyjeżdżanie mogą narzu...
 Szym takno, lecz nie mam więcej jak 2 kilometrów, a już nie...

trzymam mnie patrol partyzantki...
 Nie miałam żadnych, ale wstąpił mi i...
 szpitalu ojców. Ostrzeżli mnie jednak, że...
 nad, a nawet rozstrzelają. Strasznie...
 uszom dalej. Nie było to trwałe. Do...
 i, zakradło się zwłocześnie przy...
 pewne wiadomości. I tak dalej, czy...
 wam dotychczas do czasu. I tak, ale...
 ani na chwilę. Zapytano, nie...
 I tam kilka ludzi, a teraz...
 remianu przywrócić i po chwili...
 Powtarzają się pytania - dokąd, po...
 pierwszy raz, lecz od razu widzę...
 To dłuższych targach i...
 na drugą stronę szarniejące...
 iad atrosch, ale jeszcze nie...
 Powiem się naprawdę z...
 iad się zakończy, gdy w porę...
 nie zrobił więcej jak dwa...
 trzech. Tym razem nie...
 mnie wzięto na szpitala i...
 centki radzieckiej i jej...
 się może tylko



chciałoby się, że jestem tylko przesłany na obywatela dawasz, ale nie
 widać nie mam nie wątpię i dlatego nie widać mi. Chciałoby powiedzieć
 prawdę, albo może może może może może może może może może może może
 widać, że nie mam innego wyjścia jak powiedzieć kim jestem i
 po co idę do Brzeska. Może obywatela spowodować zmianę stosu-
 nku do mnie 6-cy patrolu. Wyjechał mi, to widać i w jego okoli-
 cy jest paino niemożliwe, że może łatwo wpaść w ich ręce, a oni a taki-
 mi nie potroszkują się tylko straszą. Kiedy wrócił tam gdzie przy-
 szła i cierpiała czeka na przesłanie się Fronu.
 Zwrócić. W drodze powrotnej szła do przodu, przez kłosa i
 taki, outjane drugi, by znów nie natknąć się na jakiś patrol, unik-
 nad tłumaczenia i obywatela. Waga niemożliwe. Było mi na duszy
 bardzo ciężko. Rozumiałem, że widać, że nie było już pomocy i
 w jakiejś chwili może być. Widać, że nie było już pomocy i
 Trzydziestym roku i a chyba ten ten widać do swoich,
 do innych przedstawicieli. Widać, że nie było już pomocy i
 i zwrócić się na ten wyznacznik. Widać, że nie było już pomocy i
 jedno doświadczenie więcej, ale czy to wystarczy? Nie miałam tej po-
 wodzi, bym wtedy jeszcze jakoś przetrwała, a los nie sprzykał
 niepodobnie i przykroci. W pewnej chwili usłyszałam - 30!!! Do-
 kąd idziecie? Szybciej po polsku pytanie, również po polsku odpwie-
 działam pytaniem - A ty kto? Odpowiedział - Oj - Jastrzębia - party-
 ant. Po tej odpowiedzi wielki ciężar spadł mi z serca, poczula-
 się bezpieczna jak nigdy w życiu, a napatrzony przypadek zaprowa-
 dził mnie do - Jastrzębia - widać, że nie było już pomocy i
 gdzie jestem a rozum i po co obywatela idę do Brzeska oraz o tym
 że dźwięki przeszedł Bog i obywatela znajdują się gdzieś w 30. Po wy-
 mianie tych informacji wyczerpan wróciłam do obywatela. Powie-
 działam im co zaczęło, dlatego nie chciałam do Brzeska.



Oddział -Jastrzębia- nie przeszedł razem z innymi toru kolejowego pod Jagodzinem, a zrobił to znacznie później. Nie nawiązał kontaktu z dywizją i stąd nie wiedział co się z nią stało, gdzie była. Dopiero w czerwcu krążył mniej więcej w tym rejonie, w którym my byliśmy wcześniej i dlatego moje niespodziewane spotkanie z jednym z żołnierzy jego oddziału.

Przez cały tydzień panował spokój na wyspie, ale w niedzielę znowu się ranni rozgadali i koniecznie chcieli mieć jakieś wiadomości, nie dawali mi spokoju różnymi pytaniami, więc im odpowiedziałam, że od naszej gosposi dowiedziałam się, iż w pobliżu jest kolonia polska Zaoście i tam mogę pójść, ale już nie sama. Wzięłam ze sobą -Marka-, który mógł już swobodnie chodzić i z nim po południu poszłam do tej kolonii. Przede wszystkim kroki swe skierowaliśmy na plebanię do księdza. Ksiądz był zaskoczony naszą wizytą, nie wiedział co my za jedni; zobaczył przed sobą partyzanta z pepeszą i dziewczynę z pistoletem. Widząc jego zdziwienie powiedziałam mu kim jesteśmy i z jakiego oddziału partyzanckiego, a jednocześnie poprosiłam o pomoc i wskazówki. Słyszając to ksiądz przyjął nas bardzo życzliwie, zaprosił na obiad i podczas obiadu doradził udać się do sołtysa i z nim nawiązać kontakt. Tak też zrobiłam. Sołtys, skoro się dowiedział o naszych warunkach bytowania, okazał wiele serca i życzliwości oraz zapewnił nas, że w każdej chwili możemy na niego liczyć. Ta życzliwość sołtysa mocno pokrzepiła nas na duchu, chociaż nie zdołałam zdobyć tych wiadomości, o które chodziło moim chłopcom, bo ani ksiądz, ani sołtys nie byli zorientowani w tych sprawach. Rozmowa przeciągnęła się i kiedy opuszczaliśmy dom sołtysa zapadał zmierzch, a wkrótce nastąpiła noc. Poblądziliśmy. Co robić? W którą stronę iść? Aby zasięgnąć języka o kierunku marszu, doszliśmy do jakiejś wioski i zapukaliśmy do okna

Obdarzył - Jastrzębia - nie przeszedł razem z innymi form koleje-
 -kon- pod Jastrzębiem, a zrobił to znaczenie podobnie. Nie miałem kon-
 taktu z dwiema i stał się nie wiedział co się z nią stało, gdzie była.
 Dopiero w czerwcu krążył miłej wieści w tym rejonie, w którym my dy-
 liny wchodziły i dlatego moje niepodobne spotkanie z jednym z
 żołnierzy tego oddziału.

Przez cały tydzień panował spokój na wybieg, ale w niedziele
 znów się ranni rozgładzi i konsekwencje chcieli mieć jakiegoś wiadomo-
 ści, nie dawał mi spokoju również pytaniami, więc im odpowiedziałem,
 że od naszej rozpadł dowodzący się, iż w pobliżu jest kolona pol-
 ska. Zaczęła i tam mogła być, ale nie sama. Wziął ze sobą - kar-
 ka, który mógł być dowodzący chodząc i z nim do podobnie pozostawia do
 tej kolonii. Wziął wziętych kilka i wziętych na pięć do
 każdego. Każdy był zadowolony naszą wieścią, nie wiedział co my na
 jedni; podobny przed sobą partyzanta i partyzant i dowodzący z pięć-
 latem. Widać było uśmiechnięte podobnie na ich twarzy i z jakie-
 goś oddziału partyzantów. Jednocześnie podobnie o pozostawia i widać
 zdaki. Siyano to każdy przyszedł nam bardzo łaskawie, zaprosił na
 obiad i podczas obiadu doradzili nam się do sołtysa i z nim niewid-
 zed kontakt. Tak też zrobiliśmy. Sołtys, skoro się dowiedział o naszym
 warunkach bytowania, okazał wiele serca i łaskawości oraz zapewnił
 nam, że w każdej chwili możemy na niego liczyć. Te łaskawości sołtysa
 mocno poruszyły nas na duchu, chociaż nie doświadczyliśmy tych wie-
 domości, o które chodziliśmy. Moim chłopcom, bo ani każdy, ani sołtys nie
 byli sortantowani w tych sprawach. Rozmowa przedstawiła się i kiedy
 opuszczaliśmy dom sołtysa zapędzi nasierach, a wrócić nastąpił noc.
 Podobnie. Co robić w której stronie? Aby uzyskać jakiegoś
 kierunku marszu, doszliśmy do jakiegoś wioski i zapukaliśmy do domu

pierwszej chałupy stojącej przy drodze. Oknem wyjrzał jakiś chłop zaspany i wystraszony. Kiedy nas zobaczył od razu zrozumiał, że jesteśmy polskimi partyzantami. -Co wy tu robicie? powiedział i dodał. -Uciekajcie stąd, bo w wiosce pełno Niemców-. Poprosiłam o wskazanie drogi do Antonowa. Wskazał nam kierunek i powiedział, że pierw musimy przejść rzeczkę, a potem będzie prosta droga, która nas zaprowadzi do Antonowa. Byliśmy bardzo zdenerwowani i cichutko opuściliśmy tę wioskę. Pomału dobrnęliśmy do wspomnianej rzeczki i miejsca, w którym była przerzucona kładka nad wodą, lecz tu czekała nas niespodzianka, w postaci przymusowej kąpieli. Przechodząc przez huśtającą się kładkę oboje wpadliśmy do wody. Marek zdążył podnieść do góry pepeszę, a ja pistolet, by nie zamoczyć amunicji. Solidnie przemoknięci doszliśmy do obozu. Chorzy spali, a nam było bardzo zimno, bo nie mieliśmy się w co przebrać i w przemoczonych ubraniach położyliśmy się pod sosną. O spaniu nie mogło być mowy.

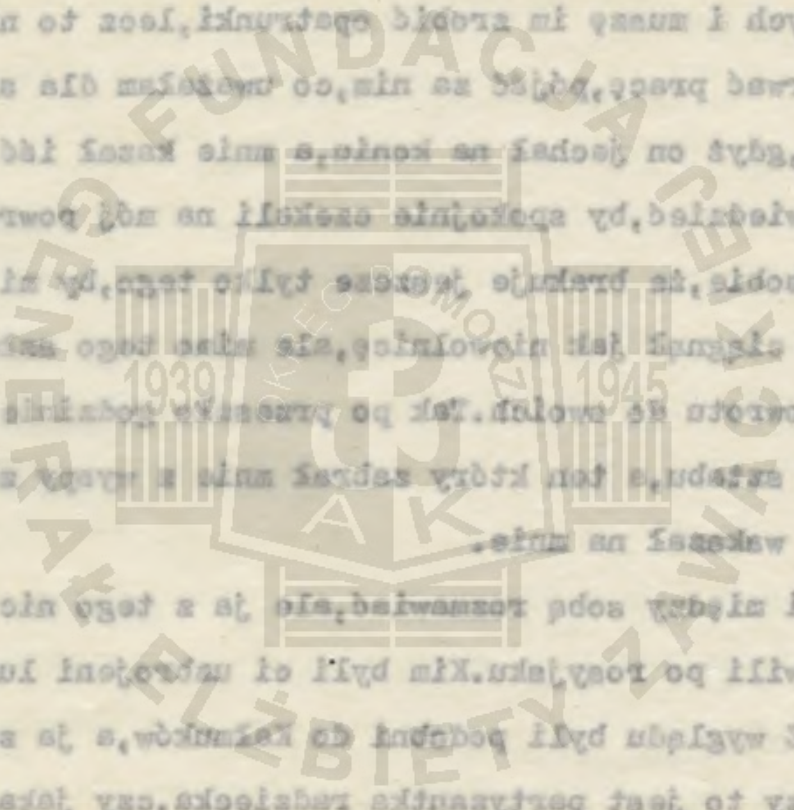
Szybko minęła krótka noc czerwcową, wyjrzało słońce. Jego promienie ogrzały mnie, zaczęłam drzemać, było mi błogo i wkrótce zapadłam w sen. Niestety, długo nie pozwolono mi spać, bo chorzy domagali się śniadania. Musiałam więc wstać i zabrać się do codziennych obowiązków. Najpierw poszłam do wioski po prowiant i dopiero po powrocie przygotowałam śniadanie, nakarmiłam nim chorych i zaczęłam szykować opatrunki. Rozłożyłam konieczne przybory i strzykawkę do zastrzyków włożyłam do gotującej się wody, chorzy siedzieli wokół i w tym czasie opowiadałam im o wizycie u księdza i u sołtysa oraz o pobłądzeniu w nocy i kąpieli w drodze powrotnej. Maraz usłyszeliśmy jakieś człapanie po wodzie, co wskazywało na to, że ktoś się do nas zbliża. Wyspa była otoczona krzakami olszyny i z naszego miejsca nie było nic widać. Chłopcy wystraszyli się, a ja podeszłam do skraju wyspy,

plewnej chęci przy brzoje. Głowa wyżej jak się chęć
 zapary i wytrzeszony. Kiedy nas zobaczył obrzucł się i
 wy polakami partyzantami. - Co wy tu robicie? powiedziała i dodała.
 - Uciekajcie stąd, bo w wiosce pełno Niemców. - Poproszcie o wskazanie
 drogi do Antonowa. Wskazał nam kierunek i powiedział, że pierw musi-
 my przejść przez las, a potem będzie droga, która nas doprowadzi
 do Antonowa. Byliśmy bardzo zdenerwowani i ciachnęliśmy opuchniętymi
 włosami. Pomału dobiegaliśmy do wspomnianego, przeszedł i mijając, w kół-
 tym była przetruciona kładka nad wodą, lecz tu czekała nas niebezpie-
 cna, w postaci przetruczonej kładki. Przechodząc przez hukający się
 kładkę obok opuchniętych do wody, kładkę kładki podnieść do góry
 peczę, a ja piałem, by nie zamoczyć sukienki. Solidnie przemoknię-
 ci dobiegamy do chłupu. Chyba spali, a tam było bardzo zimno, bo nie
 miałem się w ogóle przykryć i w przemokniętych ubraniach pocieliśmy
 się pod zębami. Ospaniu nie mogło być żony.
 Szło mi się bardzo, nie czuwałem, wyjechał ziomka. Jego promie-
 nie ogryzły mnie, zaczęłam drzemać, było mi bierz i wrócić zapadłam
 w sen. Wstałam, długo nie pozwoliłam mi spać, bo chorzy domagali się
 badania. Wstałam więc wstać i szedł się do oddzielnego opowiz-
 ków. Najpierw poszłam do wioski po prowiant i dopiero po powrocie
 przygotowałam badania, nakarmiłam nim chorzy i zaczęłam szkodę
 opatrunki. Rozłożyłam koniecznie przybory i strzykawkę do szczytków
 wstałam do gotującej się wody, chorzy siedzieli wokół i w tym cas-
 sie opowiadałam im o wiazy i u kładki i u nożyce oraz o podjęcie-
 niu w nocy i kładki w brzoje powrotnej. Wraz uszykaliśmy jakiegoś
 opiekunów po wodzie, co wskazywało na to, że ktoś się do nas zbliża.
 Wypa była odczyna krzakami ciastami i a naszego miejsca nie było
 nie widad. Chłopcy wytrzeszyli się, a ja podszłam do straju wstąpi,

rozchyliłam pomału krzaki i zobaczyłam mężczyznę jadącego na koniu. Natychmiast prysnął spokój. Szybko wróciłam do rannych i powiedziałam im, żeby zachowali spokój i nie mieszali się do rozmowy, a jeśli ten ktoś zapyta kto tu jest dowódcą, odpowiem mu, że ja. Tak się też stało. Pierwsze pytanie przybysza brzmiało. - Kto tu jest kamandirem? - Odpowiedziałam krótko, że to ja. Na to ów przybysz polecił mi, bym się z nim udała do sztabu. Do jakiego, tego nie powiedział. Tłumaczyłam mu że mam rannych i muszę im zrobić opatrunki, lecz to nie pomogło i musiałam przerwać pracę, pójść za nim, co uważałam dla siebie za wielki upokorzenie, gdyż on jechał na koniu, a mnie kazał iść z tyłu. Rannym zdażyłam powiedzieć, by spokojnie czekali na mój powrót. Idąc za nim pomyślałam sobie, że brakuje jeszcze tylko tego, by mi na szyję zarzucił arkan i ciągnął jak niewolnicę, ale mimo tego szłam z nadzieją szybkiego powrotu do swoich. Tak po przeszło godzinie marszu doszłam do jakiegoś sztabu, a ten który zabrał mnie z wyspy zameldował swoje przybycie i wskazał na mnie.

Zaczęli między sobą rozmawiać, ale ja z tego nic nie rozumiałam gdyż nie mówili po rosyjsku. Kim byli ci uzbrojeni ludzie tego nie wiedziałam. Z wyglądu byli podobni do Kałmuków, a ja zadawałam sobie pytanie - czy to jest partyzantka radziecka, czy jakaś banda działająca na własną rękę? Tej ostatniej bardzo się bałam, bo dużo o takiej słyszałam. Ich spojrzenia nie wróżyły mi nic dobrego. Ten zaś który mnie do nich przyprowadził był tylko tłumaczem między mną i pozostałymi. Chodziło im o to, że oni też mają rannych i jestem im potrzebna jako pielęgniarka. Powiedziałam im, że bardzo chętnie będę dla nich pracowała, ale ja też mam rannych i muszę się nimi opiekować. Ten argument nic dla nich nie znaczył i odpowiedzieli mi, że moi ranni nich nie obchodzą, a tylko ja jestem im potrzebna. Taka odpowiedź tym

rozchylam pomalu krawki i zobaczyłam wężyczkę jedzącą na koniu.
 Natychmiast przyniosłam jej kawałek chleba. Wzięła go ręką i powiedziała:
 Jam im, żeby zachować spokój i nie miażdżyć się do rozmowy, a jeśli
 ten ktoś napisał tu jest dowód, odpowiedź mu, że ja. Tak się też
 stało. Pierwsze pytanie przyniosła wiadomość. - Kto tu jest kamandierem?
 Odpowiedziałam krótko, że to ja. Na to dwaj przyniosli mi, bym się
 z nim udała do sztabu. Do jakiego, tego nie powiedziała. Tymczasem mu,
 że nam ręką i muszę im zrobić opatrunki, lecz to nie pomogło i mu-
 ślim przetrwać przez noc, gdyż za nim, co uważałam dla siebie za wielkie
 upozorowanie, gdyż on siedział na koniu, a mnie kazał iść z tyłu. Wnioskując
 z tego, że byłam powiadana, by spać, nie spałam. I tak. I tak za nim
 pomyślałam sobie, że trzeba będzie tylko tego, by mi na szyję kawa-
 łek chleba i szklankę herbatki, ale w tym momencie, że wiesz, że wiesz
 zbytkiego powodu nie wolałam. Tak po prostu powiedziałam mu, że
 do jakiego sztabu, tam który sztab, a nie w inny, nie w inny, swoje
 przyniosła i wiesz, na mnie.
 Zaczęli między sobą rozmawiać, ale ja z tego nie chciałam
 gdyż nie mówił po polsku. Kim był i w jakiej jednostce tego nie
 wiedziałam. Z wyglądu był podobny do Polaków, a ja wiedziałam sobie
 pytanie - czy to jest partyzancka jednostka, czy jakaś banda dzia-
 łająca na własną rękę? Też zastanawiałam się, bo było o takich
 słyszalam. Ich spojrzenia nie widać mi nie dostrzegłam. Ten zaś który
 miał do nich przynosić był tylko tłumaczem między mną i pozosta-
 łymi. Odpowiedział mi o to, że oni też mają ręką i jestem im potrzebna
 jako pielęgniarka. Powiedziała mi, że bardzo ciężka jest dla nich
 praca, ale ja też mam ręką i muszę się nimi opiekować. Ten w-
 zwent nie dla nich nie uważa i odpowiedział mi, że moi ranni nie
 ich nie obchodzi, a tylko ja jestem im potrzebna. Taką odpowiedź ty



bardziej ugruntowała moje podejrzenie, że nie jest to partyzantka radziecka. Byłam zdecydowana na wszystko i odpowiedziałam im, że swoich rannych nie pozostawię bez opieki, nawet za cenę utraty życia. Długo trwała pertraktacja i w końcu postawiłam na swoim. Najpierw powiedziano mi, że mnie zatrzymują od zaraz, a po rannych posła wozy i tu ich przywiezą. Nie wierzyłam w to, a atut miałam w ręku. Powołałam się na tego, który po mnie przyjechał i widział mnie w trakcie pracy przy przygotowywaniu opatrunków i na tym bazowałam zaznaczając, iż muszę wrócić i dokończyć opatrunki oraz zlikwidować obóz, jeśli mamy być tu przywiezieni. Wobec takiej mojej postawy pozwolono mi odejść i jednocześnie powiedziano mi, że jeszcze dzisiaj wieczorem, lub jutro rano, przyjadą po nas. Wyrwałam się od nich z wielkim zadowoleniem, bowiem udało mi się postawić sprawę jak należało i teraz jak najszybciej chciałam dotrzeć do swoich, uspokoić ich i skończyć opatrunki. Dla skrócenia drogi biegłam naprzelaj przez łąny zbóż i łąki, zdawało mi się, że biegnę bez wysiłku, że mam skrzydła u ramion. Biegając między wędzami łąnów żyta zobaczyłam nagle dwóch żołnierzy w pełnym rynsztunku, a byli to: sanitariusz podchorąży -Krótki- i ten sam -Marek-, z którym poprzedniego dnia chodziłam do Zaościa. Zapytałam - Dokąd idziecie? Odpowiedzieli mi, że na własną rękę idą szukać dywizji i mnie radzili zrobić to samo. Pytam! A reszta rannych? Co z nimi zrobić? Czy o tym pomyśleliście? Nie odrzekli nic, więc dodałam - Trudno, zatrzymać was nie mogę, macie swój rozum i róbcie jak uważacie -. Odeszłam od nich z ciężkim sercem i powlokłam się na wyspę. Nerwy odmówiły posłuszeństwa, rozplakałam się.

Na wyspie nastąpiła ostra wymiana zdań między mną a porucznikiem -Lachem-. Dziwiłam się, że jako najstarszy stopniem nie potrafił wpłynąć na nich i zatrzymać ich, bo odejście w tej sytuacji nie mia-

bardziej ugruntowane moje podejście, że nie jest to partykularna
 redukcja. Była zdecydowana na wszystko i odpowiedzialna za to swo-
 ich rannych nie pozostała bez opieki, nawet za cenę utraty życia.
 Długo trwała pertraktacja i w końcu postanowiłam na swoim. Najpierw
 powiadziłam mi, że mnie zatrzymują od zaraz, a po rannych podję
 i tu ich przywiozł. Nie wierzyłam w to, a stąd miałam w rękach. Powoła-
 lam się na tego, który po mnie przyjechał i widział mnie w trakcie
 pracy przy przygotowywaniu operacji i na tym pracowaliśmy znanos-
 je, że muszę wrócić i dokonać operacji oraz zlikwidować obdu, jed-
 ni i drugi był tu przetrzebieni. Wobec takiej nowej postawy powołano mi
 odejść i jednocześnie powiadziłam mi, że jeszcze dzisiaj wieczorem,
 lub jutro rano, przyjadę po mnie, wywieźcie się od nich z wielkim zado-
 woleniem, bowiem udało mi się postawić sprawy tak jasno i twardo
 jak najszczęśliwiej. Chciałam dotrzeć do rannych i zobaczyć ich i zobaczyć
 operację. Dla zdecydowania drogi chciałam zobaczyć, jak tam było i
 jaki, zdawało mi się, że dzień bez wyjazdu, że nie skręciła o rannych.
 Niedługo później wróciłam i tak zakończyłam naszą dwuch żołnierską
 pełną rzeszę, a byli żołnierzykami podchorążymi - krótki - i ten
 sam - Marek - a którym poprzedniego dnia chcieliśmy dojechać. Zapyta-
 lam - Dobra historia? Odpowiedział mi, że na wiadomą drogę idąc szukał
 dźwięku i mnie widział i zrobił to samo. Pytałam A reszta rannych? Co
 z nimi zrobił? Czy o tym pomyślał? Nie odwrócił nic, więc dodał
 lam - Twardo, zatrzymał was nie mógł, może swój rozum i róbca jak
 ustatkować - Odezasz od nich z ciężkim sercem i powlokasz się na wy-
 spę. Nie wy odwoływały posunięciem, rozpraszają się.
 Na wypadek nastąpiła cała wyznana kłótnia między mną a porucznik-
 kiem - Jachem - Działo się, że jako najstarszy stopień nie potrafił
 wpłynąć na nich i zatrzymał ich, bo odejście w tej sytuacji nie mia-

ło sensu. Stało się! Ubyło dwóch takich, na których pomoc liczyłam. Ni
było czasu na rozważanie ich czynu, trzeba było działać i to szybko.
Po krótkiej naradzie z -Lechem- i pozostałymi postanowiłam uciec z
tego miejsca, a bodźcem do tego była moja wątpliwość, że ci którzy
mieli po nas przyjechać, nie byli partyzantką radziecką. Powiedziała
chłopcóm, że jeśli wieczorem nie przyjadą po nas, załatwię transport
i w nocy zmienimy miejsce postoju. Okazało się, że nawiązanie konta-
ktu z księdzem i sołtysiem w Zaosciu było nam na rękę, dawało duże
oparcie, nowy punkt zaczepienia. Nie tracąc czasu poszłam do swojej
żywicielki, by załatwić furmankę. Miała ona syna imieniem Maks. Był t
inteligentny i roztropny chłopiec, a jak się dowiedział z czym przy-
chodzę, z miejsca mnie zapewnił o swojej pomocy i powiedział, bym si
niczym nie martwiła, bo jeśli do zachodu nie przyjadą po nas, to on
w nocy przyjedzie i wywiezie nas z tej wyspy. Dał słowo i dotrzymał
go. Po takim zapewnieniu szybko powróciłam i zaczęłam likwidować
obóz. Wszystko spakowałam i zasypałam ognisko, miejsce postoju zmier-
ło wygląd. Po naszym odjeździe i śladu nie będzie. Czas oczekiwania
dłużył się do znoju i w podenerwowaniu czekaliśmy na dalszy prze-
bieg wypadków. Zapadł wieczór i nikt się nie zjawił. Nastąpiło odprę-
żenie, duża ulga, ale jeszcze nurtowało pytanie, czy aby Maks nie za-
wiedzie. Nastąpiła noc pełna poświaty księżycy, parna i gorąca, tak cz
sto spotykana na Polesiu. Ciszę lasu przerywała rozmowa na temat, czy
ucieczka się uda, czy aby w drodze nie zajdą jakieś nieprzewidziane
przeszkody. Tym razem zdawało się, że czas płynie bardzo wolno.
Czatnie wątpliwości znikły gdy w pewnej chwili usłyszeliśmy stąp
nie koni i słaby turkot furmanki. Tak, to jechał po nas Maks i za p
rę minut zjawił się w obozie. Na wóz złożono cały rynsztunek i mak
maksima chorych też dało się usadowić. Ruszono w nowe i nieznane. Ob

to sensu. Stafa się! Użyto dwóch takich, na których pomoc liczyłam. Nie
 było czasu na rozmowę, nie było czasu, trzeba było działać i to szybko.
 To krótkiej naradzie z -lechem- i pozostałymi postanowiliśmy odcie-
 tego miejsca, a podać do tego była moja wątpliwość, że ci którzy
 mieli po nas przyjechać, nie byli partyzantką techniczną. Dowiedzieliśmy
 o nich, że jeśli wiadomości nie przyjdą po nas, zafajkę transport
 i w nocy salamiemy miejsce postoju. Okazało się, że wiadomości koma-
 ktu z kądziel i salamiem w Łodziu było nam na rękę, dawalo duze
 operacje, nowy punkt zaczepienia. Na tym czasie pozostawiliśmy do swojej
 dyspozycji, by zafajkę turmanki. Miała ona być salamiem Łaka. Był to
 inteligentny i rozstrony człowiek, a jak się dowiedzieliśmy o jego przy-
 obodę, a między nami rozmawiać o swojej pomocy i powołaniu, bym się
 niekiedy nie zastanawiali, bo jeśli do nich nie przyjdą po nas, to on
 w nocy przyjeżdża i wyjechał nas z tej 9200. Dla słowa i dotrzymania
 go. Po takim zapewnieniu szybko powrócił i zaczął nam mówić
 odc. Wszystko opowiedział i zapowiedział, że jego postój wstani-
 to wyjazd. Po naszym objęciu i zmianie nie było. Czas oczekiwania
 drugi się do kurku i w podziemiu czekali na dalszy prze-
 bieg wypadków. Zapadł wiecier i nikt się nie zjawił. Wstąpiło odpr-
 żenie, duze uję, ale jeszcze kurczowo pytanie, czy był Łaka nie za-
 wiedział. Wstąpił noc pełna podwójny kądziel, parna i gorzej, tak od-
 sto spotykana na Polnie. Ujęcie ian przetrwała rozmowa na temat, czy
 ucieczka się uda, czy być w drodze nie sądzę jakiejś nieprzewidzianej
 przeszkody. Tym razem zdawało się, że czas przynieć bardzo wolno.
 Ostatnie wątpliwości znikły gdy w pewnej chwili uszyliśmy etap-
 nie koni i śledy turkot turmanki. Tak, to jednak po nas Łaka i za pa-
 rę minut zjawili się w obozie. Na wóz złożono cały transport i nam
 ukazania chorobę też dale się usadowić. Russom w nowo i nieznane. Czek

wozu szedł Maks i ja. Po drodze zapytał mnie, dokąd ma nas zawieźć. Do Zaościa - odpowiedziałam - a tam już się nami zajmą.

O świcie byliśmy już w Zaościu z tym, że Maks z rannymi odraz wjechał w las, a ja poszłam do sołtysa. Zastałam go na podwórzu przy rąbaniu drzewa, a on jak mnie zobaczył, zapytał - Czy stało się coś złego? Strasznie pani wygląda. Odpowiedziałam, że jestem tu z rannymi i potrzebuję jego pomocy. Natychmiast rzucił siekierę, otarł spoconą twarz i bez słowa poszedł ze mną do wozu. Jako stały mieszkaniec Zaościa znał każdy zakamarek tej okolicy. Przede wszystkim kazał Maksowi zabrać trochę siana na wóz, które miało służyć do wyścielenia legowisk dla rannych, zastępować im łóżka. Po załadowaniu siana nikt by nie przypuszczał, że pod nim są jacyś ludzie. Maks zaciął konie ruszył za przewodnikiem, sołtysem. Niebawem oczom moim ukazała się piękna polana, w tym czasie skąpana w promieniach słońca, a prócz tego go na polanie stała dość duża buda. - Tu was nikt nie znajdzie, możecie być spokojni - powiedział sołtys i pomógł znieść siano do budki, rozścielić go i na nim poukładać rannych. Tym razem mieliśmy dach nad głową. Po ulokowaniu rannych zapytałam Maksa, czym mu mam wynagrodzić za okazaną pomoc. Maks nie chciał słyszeć o żadnej zapłacie tylko prosił, by mu na pamiątkę podarować jakiś pistolet. Byłam tym trochę zdziwiona i nie mogłam sama o tym zdecydować, więc porozmawiałam w tej sprawie z por.-Lechem-. Por.-Lech- był zdania, by mu dać pistolet, bo w pełni na to zasłużył. Wobec tego dałam Maksowi piękny go Visa, z czego był bardzo uradowany, a my wdzięczni jemu za pomoc. Pożegnał nas i odjechał. Więcej o nim nie słyszałam.

Zaczął się nowy i jednocześnie ostatni etap naszego partyzanckiego życia, tułaczki. Po ostatecznym rozlokowaniu rannych w budzie poleciłam im leżeć spokojnie i odpoczywać, a sama udałam się do wioski załatwić sprawę wyżywienia. Najpierw zaszłam na plebanię. Po we-

Wozu siedzi Łaska i ja. Po drodze zapytał mnie, dokąd ma nas zawieźć. Do Łasce - odpowiedziałem - a tam już się nami zajmą. O świecie byłoby już w Łasce i z tym, że Łaska z rannymi odjechał wjechał w las, a ja poszedłem do szopy. Łaska nie ma podwórka przy rękawie drzewa, a on jak mnie zobaczył, zapytał - Czy stało się coś złego? Strasznie pani wygląda. Odpowiedziałem, że jestem tu z rannymi i potrzebuję jego pomocy. Natychmiast trucił elektrycznością, otarł spocznik twarz i bez słowa poszedł ze mną do wozu. Jako stały mieszkaniec Łasce znał każdy zakamarek tej okolicy. Próbując wszystkich kazał mi kłonić się przed troję, a na wóz, które miało służyć do wydelegowania legowisk dla rannych, zastopował na idłach. Po zafalowaniu siana nikt by nie przypuszczał, że pod nim są jacyś ludzie. Łaska zaczął kłonić i trząść surowym głosem, jakby chciał powiedzieć, że to jest jego miejsce. Pięć godzin, w tym czasie siana w przelocie nie było, a przed sobą go na polanie stała dość duża buja. - Tu was nikt nie znajdzie, może-cie być spokojni - powiedział, wstał i poszedł z nami do buji, rozdając go i na nim posiadając rannych. Tym razem miałem dość nad głowę. Po mikrofonie rannych zapytał Łaska, czy mam wyciągnąć dale ze szopy pomoc. Łaska nie chciał się zgodzić o żadnej pomocy tylko prosił, by mu na pomoc przyjechał jakiś pistolet. Byłam tym trochę zdziwiona i nie mogłam sama o tym zdecydować, więc porozmawiałam w tej sprawie z por.-lechem - Tor.-lach - był zdania, by mu dać pistolet, bo w pałacu na to zasłużył. Wobec tego dałem Łasce pistolet. Go więc, a czego był bardzo uradowany, a my wstąpiliśmy do pomocy. Potem nas i odjechał. Więcej o nim nie słyszałem. Zeszły mi nowy i jednocześnie ostatni etap naszego partyzanta, którego życie, tuż przed. Po ostatnim rozlokowaniu rannych w bujach, poleciałem im iść spokojnie i odpoczywać, a sama udałem się do szopy. Ani słowa nie powiedziałem. Najbardziej zasmiałam na siebie. Po zej-

ściu do kuchni gosposia dała mi znak, bym nic nie mówiła, bo w tym czasie pastuch jadł obiad i nie należał do pewnych ludzi. Po wyjściu z kuchni dowiedziałam się od gosposi, że ten sam partyzant który tu był ze mną w niedzielę i jeszcze jakiś drugi, leżą na strychu z dużą gorączką. Po drabinie weszłam na strych i ujrzałam leżących na ścianie. Byli bardzo zaczerwienieni i faktycznie mieli wysoką temperaturę. Byli to: podchorąży -Krótki- i -Marek-. Zaczęłam ich przekonywać aby wrócili do grupy, bo obecnie mamy doskonale urządzone i bezpieczne miejsce. Niestety, moje wywody nie odniosły skutku. Uparli się iść za Bug, mieli już umówionego przewodnika, który miał ich przeprowadzić na drugi brzeg. Wiecej nie nalegałam i życzyłam im pomyslniej przeprawy. Zeszłam na dół i przeprowadziłam dłuższą rozmowę z księdzem, a ksiądz zapewnił mnie, że nie muszę się o nic troszczyć, bo on to bierze na swoje barki, ogłosi ludziom i na pewno będą nam pomagali. Według relacji ustnej dr Władysława Michałowskiego, który pochodzi z tamtych stron, ksiądz ten nazywał się Zapaśnik. W ten sposób zapewniłam rannym wyżywienie, a sama nie musiałam dmuchać w palenisko, ani gotować w dymie. Trzy razy dziennie chodziłam do sołtysa po gotowe posiłki. To była ogromnie duża pomoc.

Ponieważ kilku moich rannych na poprzedniej wyspie zachorowało na tyfus, który miał przebieg łagodny i zdołałam go w zarodku zlikwidować, dzięki zastosowaniu zastrzyków nasercowych i diecie, a teraz nastąpił raptowny przeskok w jakości posiłków, musiałam byłym chorym na tę chorobę regulować odżywianie, aby chory i wycieńczony organizm powoli przestawić do trawienia bardziej treściwego pokarmu. Początkowo było trochę marudzenia, lecz długo to nie trwało i wszyscy chorzy szybko zrozumieli, że pragnę ich doprowadzić do pełnego zdrowia.

Na nowym miejscu czas upływał w spokoju. Leśna cisza kojąco

wpływała na nerwy, leczyła. W tej ciszy zdawało się, że nie istnieje wojna, trwa pokój. Chwilowo byliśmy zdaleka od spraw tragicznych, od koszmaru mordy i grabieży, jakie się jeszcze toczyły na całym kontynencie. Z każdym dniem moim podopiecznym przybywało sił, z czego byłem bardzo zadowolony.

Słońce dopiekało i nadszedł okres żniw. Do tego czasu moi ranni wrócili do zdrowia, do pełni sił, a kłopot sprawiał mi tylko jeden por.-Lech-. Jego kolano nie dawało mi spokoju. Rany były wygojone, obrzęki ustąpiły, ale długie unieruchomienie kończyny spowodowało sztywność stawu kolanowego. Zaczęłam więc stosować nowe zabiegi: kąpiele, masaże i gimnastykę. Tym sposobem uruchomiłam staw, pacjent zaczął powoli chodzić, najpierw oparty na moim ramieniu, potem przy pomocy laski i wreszcie mógł utrzymać się o własnych siłach, chodzić swobodnie. Ogromny kamień spadł mi z serca, wszyscy byli zdrowi.

Pewnego dnia -Lech- zaczął mi mówić o zbliżającym się wybuchu powstania w Warszawie i chęci opuszczenia obozu. No cóż? Nie mogłam go zatrzymać. Rozkaz wyraźnie mówił - wracać do dywizji, lub na własną rękę do domu. Znowu musiałam się wystarać o furmankę, aby go odwieźć do Brześcia. Za zapłatą jeden z gospodarzy Zaościa zgodził się odwieźć -Lecha- do tego miasta. Odjechał. Przez odwożącego dostałam gryps od -Lecha-, dojechał bez przeszkód i załatwił sobie z kolejarzami przejazd do Warszawy. Od tej pory nikt więcej z tej grupy nie odszedł, pozostałam z nimi do końca. Chłopcy zdrowi i pełni sił zakomunikowali mi następnego niedzieli, że chcą pójść do wioski i tam się trochę zabawić. Nie mogłam ich zatrzymać, a iść z nimi nie chciałam. Foszli. Nie przypuszczałam, że pozostawią mnie samą w lesie. Już noc zapadła, a moich chłopców nie widać z powrotem. Weszłam do budy, nakryłam się kożuszką i położyłam się spać. Trochę się bałam tej samot-

Wspomniał mi o tym, że w tym czasie, kiedy on był w Warszawie, to było bardzo ciężkie, bo w tym czasie, kiedy on był w Warszawie, to było bardzo ciężkie, bo w tym czasie, kiedy on był w Warszawie, to było bardzo ciężkie...

Wtedy, kiedy on był w Warszawie, to było bardzo ciężkie, bo w tym czasie, kiedy on był w Warszawie, to było bardzo ciężkie, bo w tym czasie, kiedy on był w Warszawie, to było bardzo ciężkie...

Wtedy, kiedy on był w Warszawie, to było bardzo ciężkie, bo w tym czasie, kiedy on był w Warszawie, to było bardzo ciężkie, bo w tym czasie, kiedy on był w Warszawie, to było bardzo ciężkie...

Wtedy, kiedy on był w Warszawie, to było bardzo ciężkie, bo w tym czasie, kiedy on był w Warszawie, to było bardzo ciężkie, bo w tym czasie, kiedy on był w Warszawie, to było bardzo ciężkie...

ności i leżąc myślałam - jak mogli coś podobnego zrobić? Tak leżąc w pewnej chwili usłyszałam czyjeś głosy i myślałam, że to wracają moi i nawet miałam zamiar dać im odpowiedni wygovor. Niestety, głosy były obce, nie mogłam rozróżnić w jakim języku prowadzono rozmowę. Ogarnął mnie strach i z nim czarne myśli napłynęły do głowy. Może to Niemcy, a może Ukraińcy - myślałam. Co będzie jeśli tu przyjdzie wróg i zobaczy w budzie kupę granatów, broni? Za późno było na okrycie wszystkiego. Powiedziałam sobie - dziej się wola Twoja Panie - a głosy obce coraz bliżej i bliżej. Serce łomotało w piersi jak oszalałe, strach paraliżował wolę, nie mogłam go przewyciężyć i nagle ktoś zapytał w języku białoruskim - Kto tu jest? Odchyliłam kożuch i nie swoim głosem coś odpowiedziałam, na co ten ktoś rzekł po polsku. - Proszę się nie bać, my swoi. Niemcy spalili wieś, dużo ludzi ponordowali, a nas garstka z dobytkiem uciekła. To jest moja buda, wybudowałam ją wszelki wypadek. Białorusin na pewno domyślił się kim ja jestem, zwłaszcza jak zobaczył broń i amunicję, plecaki. Chciałam po prostu opuścić jego własność, lecz on się na to nie zgodził, lokując w budzie tylko dzieci i staruszkę matkę. Zaludniła się polana, a inwentarz żywy zaczął ryczeć, kwiczeć - znikł spokój. Właścicielowi budy powiedziałam, że nie jestem sama, a moi chłopcy, którzy poszli do wsi, niespodziewają się zastać tu tylu ludzi, a wracając i słysząc obce głosy na polanie mogą rozpocząć strzelaninę. Aby do tego nie dopuścić doradziłam mu, by wystawił jakąś czujkę, która zawiadomi wracających o tym co tu zaszło. Dobrze zrobiłam i wszystko dobrze się skończyło. Polana była zajęta tylko przez parę dni, a potem przybysze odeszli do swojej wioski.

Chłopcy przeprosili mnie za ten wyskok i przyrzekli, że więcej tego nie będzie i już nigdy nie pozostawią mnie samą.

niedzi i leżąc myślałam - jak mogli coś podobnego zrobić? Tak leżąc
 w pewnej chwili najczarniej myślałam, że to właśnie
 moi i nawet miałam zamiar dać im odpowiedni wygłos. Wtedy, kiedy
 były opóźnione, nie mogłam rozstrząsać w jakim języku prowadzone rozmowy.
 Otrzymałam mnie strach i z nim czarne myśli napłynęły do głowy. Może to
 Niemcy, a może Ukraińcy - myślałam. Co będzie jeżeli tu przyjdzie wróg
 i zobaczy w budzie kupę granatów, broni? Za późno było na odkrycie
 wszystkich. Powiedziałam sobie - dzieje się wola Twoja Panie - a więc
 są opóźnione bliżej i bliżej. Głęboko pozostało w pamięci jak czułam,
 strach paraliżował wolę, nie mogłam się przemieszczać i nagle ktoś
 zapytał w jakim kierunku - kto tu jest? Odbyłam koczując i nie
 swoim głosem coś odpowiedziałam, na co ten ktoś zaczął po palaku. - Pro-
 szę się nie bać, myślenie upadło, dusza była porażona,
 a nas czekała z doświadczeniem. To jest moja budza, wybudowałam ją
 wszelki wypadek. - Wskazywałam na pewno doświadczenia, ale nie jestem,
 zwłaszcza jak zobaczył przed i zamyślił, płacząc. Wskazywałam po prostu
 opuścić jego stanowisko, lecz on nie chciał, lokując w budzie
 tylko dzieci i starszą matkę. Zauważyłam się polana, a inwentarz ży-
 wy zaczął ryczeć, kwiczeć - znikłi agoni. Wskazywałam budę powiadza-
 lam, że nie jestem sama, a mój chłopcy, który poszli do wai, nie spodobała
 wstał się zbudził tu tym ludzi, wstając i stając opóźnienie głowy na po-
 janie mogą rozpocząć strzelanie. Aby do tego nie doprowadzić doradzi-
 lam mu, by wystrzelił jakiegoś czujkę, która zawiadomi wstających o tym
 co tu dzieje. Dobrze zrobiłam i wszystko dobrze się skończyło. Polana
 była zajęta tylko przez godzinę, potem przyszedł odezwać do zw-
 rząt wiozki.

Chłopcy przeprosili mnie za ten wyrok i przysięgli, że więcej
 tego nie będą i już nigdy nie pozostawić mnie samej.

1/1/85

Znowu nastąpiła błoga cisza. Rozmyślaliśmy o przejściu Dugu całą gromadą i o dołączeniu do swoich oddziałów. Niestety, było już za późno, bo któregoś dnia sołtys zawiadomił nas o wzięciu Brześcia przez wojska radzieckie i o Niemcach uciekających w popłochu. Ta wiadomość bardzo nas ucieszyła, wiedzieliśmy - Polska będzie wolna, a krew przelana nie poszła na marne.

Po paru dniach sołtys otrzymał polecenie zawiadomienia partyzantów, by partyzanci wyszli z lasów i zameldowali się w sztabie partyzantki radzieckiej, pułkownika Czerniakowa.

Zlikwidowałam obóz i z całą grupą poszłam na wskazane miejsce. Byłam tam zaledwie trzy dni. Wszystkie oddziały partyzanckie miały się udać do Brześcia, a mnie, mieszkankę Kowla, zwolniono do domu. Przekro mi było rozstawać się z moimi chłopcami, a jednocześnie byłam zadowolona z dobrze spełnionego obowiązku wobec nich i moich przełożonych, którzy mi to zadanie powierzyli.

Po dwóch dniach pieszo dotarłam do Kowla. W miejscu rodzinnego domu zastałam tylko zgliszcza. Zmęczona i głodna usiadłam na nich. Gdzie rodzice? Bracia? Łzy jak groch spływały po policzkach.

1/1/80

I 1/1/80

Wznowiła się w tym czasie walka o przetrwanie państwa
 i o doprowadzenie do ewoluacji państwa. Wskazywało się, że
 nie, do którego dnia politycy świadomili nas o sytuacji państwa przez
 wojaka radzieckiego i o Niemcach uciekających w popłochu. Ta wiadomość
 bardzo nas ucieszyła, wiedzieliśmy - Polska będzie wolna, a kraj prze-
 jana nie pozostaje na marne.

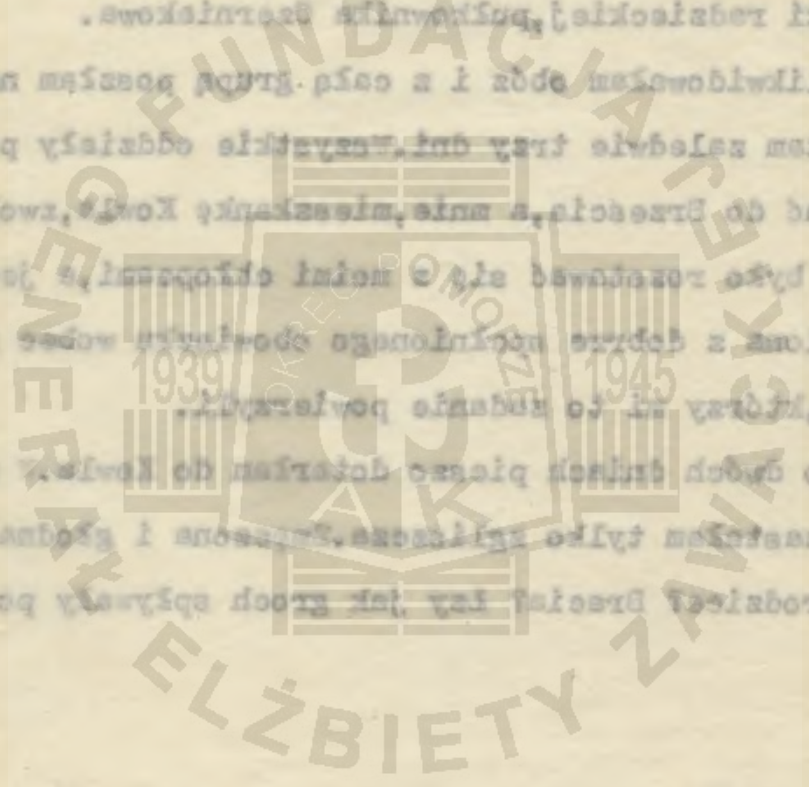
W tym dniu politycy otrzymali polecenie zwiedzenia party-
 zantów, by partyzanci wyszli z lasów i zameldowali się w sztabie par-
 tyzantki radzieckiej, przynajmniej w sztabie.

W tym dniu politycy otrzymali polecenie zwiedzenia party-
 zantów, by partyzanci wyszli z lasów i zameldowali się w sztabie par-
 tyzantki radzieckiej, przynajmniej w sztabie.

W tym dniu politycy otrzymali polecenie zwiedzenia party-
 zantów, by partyzanci wyszli z lasów i zameldowali się w sztabie par-
 tyzantki radzieckiej, przynajmniej w sztabie.

W tym dniu politycy otrzymali polecenie zwiedzenia party-
 zantów, by partyzanci wyszli z lasów i zameldowali się w sztabie par-
 tyzantki radzieckiej, przynajmniej w sztabie.

W tym dniu politycy otrzymali polecenie zwiedzenia party-
 zantów, by partyzanci wyszli z lasów i zameldowali się w sztabie par-
 tyzantki radzieckiej, przynajmniej w sztabie.



SAWICKA Halima

